

Ludomir Lauda
CAFE BAGDAD



Ludomir Lauda

Cafe Bagdad

Choćby nawet twym przeznaczeniem była porażka, to
jednak stań do walki z losem i staraj się jak możesz
William McFee

W wielkości każdego z geniuszy znajduje się zawsze
ziarno szaleństwa
Jean Baptiste Molière

Dramatis personae

Maciej Belina – miłośnik rebusów i zagadek; amator przygód; w wolnych chwilach poszukiwacz skarbów

Michał Zaklicki – dziennikarz

Adam Nowak – przyjaciel Zaklickiego; chemik oraz malarz-amator

Schwerdtfeger – chciwy właściciel domu, w którym mieszkał Nowak

Anna Malinowska – piękna brunetka; pielęgniarzka

profesor Spranger – Przełożony Anny, obecny tylko duchem (a właściwie głosem), ale okazuje się bardzo pomocny

Horst Dimde – właściciel sklepu ze starociami

pani magister Tokarska – kustoszka w Muzeum Narodowym

Beata Jasińska – malarka, konserwatorka obrazów w tymże Muzeum

Szermer – zbieg z kryminału

Justyna – sąsiadka Beliny

oraz Cyganie, Japończycy, kominiarze, policjanci itp.
itd.

Spis treści

- 1 [Odnalezione arcydzieło](#)
- 2 [Cyganie i kominiarze](#)
- 3 [W drogę](#)
- 4 [U celu podróży](#)
- 5 [Dziewczyna jak malina](#)
- 6 [Malina czy czarna perła?](#)
- 7 [Belina przejmuje inicjatywę](#)
- 8 [Plotkarki](#)
- 9 [Ostatni wieczór](#)
- 10 [Gdzie diabeł nie może...](#)
- 11 [U siebie](#)
- 12 [Matula pomarli](#)

Rozdział I

ODNALEZIONE ARCYDZIEŁO

Tytuł tej książeczki może być mylący. Nie traktuje ona ani o kawie, ani o kawiarni, ani o irackiej metropolii. Nie ma też nic wspólnego z głośnym niegdyś filmem o tym samym tytule. Za to wyrazy malarstwo, malarz i obraz będą tu odmieniane przez wszystkie przypadki gramatyczne. Nie jest to jednak traktat o szlachetnej sztuce, lecz historia odkrycia pewnego dzieła. Nie będzie wykładu o stylach i technikach malarstwa. Nasz bohater, Maciej Belina, jak już może niektórzy z Czytelników wiedzą, nie należy do bohemy. Jego umiejętności rysunkowe ograniczają się do sprawnego posługiwania się linijką i cyrklem, a rysunki odręczne wymagają podpisu, aby dało się rozpoznać, co przedstawiają. O jego malowaniu lepiej w ogóle nie wspominać.

Przypadek sprawił, że przed paru laty Belina poznał jednego spośród wirtuozów pędzla. Artysta ten

obdarzony był niepospolitym talentem, ale równocześnie niezwykle niechęcią do nauki. Z tej prostej przyczyny nie uzyskał dyplomu i skazany był na malowanie szyldów i dekoracji sklepowych za groszowe wynagrodzenie. Cierpiąc niedostatek, znalazł sobie znacznie bardziej dochodowe zajęcie, podrabianie obrazów uznanych malarzy, ale wkrótce doprowadziło go ono za kratki. Krótkotrwała znajomość z Maćkiem raptownie się skończyła.

Kopiowanie i fałszowanie dzieł mistrzów jest tak stare jak same dzieła. Jedni fałszerze sprzedają swoje wyroby jako oryginały cudzych prac, inni podpisują je własnym nazwiskiem i zbywają „uczciwie” jako kopie, nie dbając jednak o zachowanie praw autorskich właściwego twórcy.

Na fałszerstwach sprawa się nie kończy. Kradzieże drogocennych arcydzieł są również znane od starożytności. W tej opowieści spotkamy się z jednymi i drugimi.

* * *

Nim minął czwarty dzień od powrotu Macieja Beliny z Częstochowy do Krakowa, redaktor Zaklicki wprosił się do niego z wizytą.*

W majową niedzielę około południa siedzieli w mieszkanku Maćka i zażywny gość opowiadał:

— Adam Nowak był wszechstronnie utalentowanym człowiekiem. Z wykształcenia był inżynierem chemikiem, ale posiadał także uzdolnienia artystyczne. Pięknie rysował i malował. Grał na fortepianie i gitarze, a nawet komponował muzykę; drobne, lekkie utwory. Kochał jazz tradycyjny. Mniej więcej dwadzieścia lat temu wyjechał do Niemiec; właściwie do ówczesnej Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Nie udało mi się dowiedzieć, co było tego przyczyną. Był specjalistą od barwników tekstylnych lub czegoś podobnego. Ja się na tym nie znam. Pracował w fabryce w Cottbus, czyli Chociebużu na Łużycach. Wynajął tam mały domek, w którym mieszkał sam jeden. Nigdy się nie ożenił. Nie wspominał przy mnie o żadnych krewnych.

Zaklicki zwilżył wargi sokiem owocowym, po czym wytarł je starannie chusteczką. Zmarszczył czoło w

namyśle i podjął przerwany temat.

— Miałem w nim przyjaciela od serca. Przed trzema laty zaprosił mnie do siebie. Bardzo nalegał, żebym koniecznie przyjechał. Było to, oczywiście, już po upadku komunizmu i wcieleniu NRD do Niemiec. Adam był już na emeryturze i miał poważne problemy zdrowotne. Gdy go odwiedziłem, pokazał mi obraz, jaki nabył w miejscowej galerii sztuki, gdzie sam sprzedawał czasem swoje amatorskie malunki. Było to dzieło Aleksandra Kotsisa Matuła pomarli.

Może pan słyszał o Kotsisu?

— Jakże by nie — obruszył się Maciej. — Przecież to prawie mój sąsiad. Dzieli nas wprawdzie okres ponad stu lat, ale Kotsis, tak jak ja, mieszkał tu na Ludwinowie. Ten słynny, przejmujący obraz znam z reprodukcji.

— Przejmujący... Dobrze pan to ujął. Rzeczywiście ujmuje za serce... — Zaklicki pokiwał głową. — Od czasu okupacji niemieckiej obraz popadł w niebyt, że się tak wyrażę. Nikt się nie przyznawał do jego posiadania. Nie pojawił się na żadnej aukcji. Po prostu przepadł.

Zanoziński, autor monografii o Kotsisu, pisał w latach pięćdziesiątych, że miejsce przechowywania obrazu jest nieznane. A tu prawie pół wieku później Adam pokazuje mi to arcydzieło kupione tanio w prowincjonalnej niemieckiej galerii...

— Pewnie jakiś potomek okupanta postanowił spieniężyć obraz, o którym pewnie nic nie wiedział, a który wywoływał przygnębiający nastrój — wtrącił Belina. — Pozbył się go, bo przedstawia scenę, jakiej się nie ogląda z przyjemnością.

— Możliwe — zgodził się Zaklicki. — Adam chciał za moim pośrednictwem przekazać nabytek do któregoś z muzeów w Polsce, ale nie otrzymał zezwolenia na jego wywóz za granicę. Wiadomo, przepisy. Nie był w stanie udowodnić, że dzieło zostało zagrabione przez hitlerowców. No, bo i jak?

Znowu łyknął odrobinę soku.

— Wróciłem wtedy, jak to się mówi, z kwitkiem. Pocieszaliśmy się, że kiedy Polska przystąpi do Unii Europejskiej i nie będzie kontroli na granicach, będzie można bezproblemowo przywieźć obraz do kraju. Wzięliśmy jednak pod uwagę także inną alternatywę.

Uradziliśmy, że po kilku latach, jak wszyscy zapomną o tej sprawie, Adam pokryje obraz Kotsisa swoim malunkiem. Wystawi go na sprzedaż, dając mi wcześniej o tym znać. Ja przyjadę do Chociebuza i kupię to płótno. Galeria bez trudu powinna załatwić zgodę na jego wywiezie-nie jako marnego współczesnego malowidła...

— Dostał pan właśnie „cynk” od kolegi? — ożywił się Maciek, zgadując, na co się zanosii.

— Niezupełnie. W ostatnim liście Adam pisał, żebym przyjechał jak najprędzej, że jest ciężko chory i nie opuszcza domu. Jest pod stałą opieką pielęgniarki, która dobrze zna język polski.

— Znalazł się w sytuacji przymusowej. Nie chciał dłużej zwlekać z przemalowaniem obrazu. Pewnie to zrobił. Mając zaś ciągle przy boku „aniola stróża” mówiącego po polsku, pewnie nie mógł wprost napisać do pana, że obraz jest gotowy do przejęcia. Ja to tak rozumiem.

— Chyba tak — zgodził się Zaklicki. — Mam jednak pewne wątpliwości, czy mój przyjaciel zachował w chorobie pełną jasność umysłu. Pisał bardzo

chaotycznie, miejscami trudno mi go było zrozumieć. Napisał, że skomponował właśnie melodię, która będzie mi się podobała. Narysował nawet kilka nut. Gram trochę na fortepianie, ale nie widzę w nich sensu. Wybrzdakałem je jednym palcem, lecz melodia z niczym mi się nie skojarzyła. — Przerwał na sekundę. — Nie pojmuję, dlaczego Adam od pewnego czasu nie telefonował do mnie, a ja nie mogłem się do niego dodzwonić. W liście nadmienił...

— Chwila, moment, panie redaktorze — wtrącił się niezbyt grzecznie Belina. — To mogą być zaszyfrowane wskazówki dla pana.

Jeżeli pielęgniarka przez cały dzień patrzy choremu na rękę, nie może on jasno napisać o planowanym przemycie. Przecież z punktu widzenia prawa chcecie panowie przeszwarować przez granicę cenne dzieło sztuki. To przestępstwo. Co prawda nie jest to pierwszy raz, gdy prawo rozmija się ze sprawiedliwością. Złodziej nie musi dowodzić swojej niewinności, tylko okradziony ma obowiązek udowodnić mu kradzież. Dzieła sztuki, które nie były zarejestrowane w inwentarzach muzealnych, a

przepadły w czasie wojny, nie są traktowane jak zagrabione. Teoretycznie mogły przecież zostać nabyte uczciwie od prywatnych właścicieli. Nie wyobrażam sobie jednak, w jaki sposób mogły się legalnie i uczciwie przenieść do innego kraju.

— Wiem coś o tym, jak najeźdźcy kupowali w Generalnym Gubernatorstwie antyki i kosztowności od Polaków, Żydów i Cyganów.

Za obietnicę uratowania życia lub choćby tylko odwleczenia egzekucji dostawali wszystko, co tylko człowiek zagrożony śmiercią mógł im ofiarować. Nie dbali nawet o to, by sporządzić fikcyjne umowy kupna. Rabowali, grabili wszystko, na co tylko mieli ochotę, z muzeów, ze sklepów, z domów prywatnych. Przecież zwycięzców nikt nie sądzi, a oni uważali się za niezwycięzonych. Jeszcze w 1944 roku nie dopuszczali do siebie myśli o klęsce, jaka ich w końcu dopadła.

A teraz znowu podnoszą głowy i mają czelność domagać się od nas odszkodowań, tak jakbyśmy to my na nich napadli i zniszczyli ich ojczysty kraj.

Starszy pan aż się zasapał z podniecenia. Tym razem pociągnął trzy duże łyki soku. Na łysinie pojawiły

mu się kropelki potu.

— Grabieże bogactw i dzieł sztuki są tak stare jak ludzka cywilizacja — podjął Maciek. — Nie będę panu przypominał wypraw łupieżczych starożytnych potęg ani średniowiecznych wypraw krzyżowych. Wystarczy ograniczyć się do nowszych czasów. Polska po-niosła olbrzymie straty w okresie wojny trzydziestoletniej i potopu szwedzkiego. Potem przyszły rozbiory i praktycznie straciliśmy wszystkie najcenniejsze zbiory sztuki. Prusacy zrabowali z Wawelu polskie insygnia królewskie i przetopili je na monety. Carya Katarzyna II ogołociła z arrasów i innych dzieł sztuki Wawel, Belweder i Łazienki.

— Właśnie — znowu podjął temat Zaklicki. — Nawet wojska napoleońskie, których byliśmy sojusznikami, nie oszczędziły polskich, jakże już zubożonych, kolekcji. Napoleon zorganizował ko-misję ekspertów, którzy na zajętych terenach wybierali dzieła sztuki do kolekcji cesarza Francuzów. Jego pomysł naśladowali później naziści. Spośród niemieckich i austriackich uczonych i specjalistów powołali komisarzy do spraw zabezpieczania dzieł sztuki, którzy za-jęli się

selekcją i wywożeniem polskich zabytków. Potem utworzyli specjalne organizacje do tych zadań.

— One miały wzbogacić muzea Trzeciej Rzeszy, ale przy okazji dostojnicy hitlerowscy powiększali swoje prywatne zbiory. Mniejsi dygnitarze i dowódcy także kradli na własną rękę.

— I te ostatnie rzeczy — wtrącił dziennikarz — zostały rozproszone po prywatnych domach w różnych krajach. Pozostały tam po dziś dzień. Nie istnieje sposób, aby je rewindykować.

— Te skonfiskowane oficjalnie też nie zostały w pełni odzyskane, a właściwie to ledwie w małej części. Całe olbrzymie transporty, pociągi ze zdobycznymi skarbami zostały ukryte w podziemnych sztolniach i w lochach dolnośląskich zamków.

— Tak. — Starszy pan otarł czoło z potu. — Niemcy się nie spodziewali, że utracą te tereny. Sądzieli, że po wojnie wrócą na Śląsk i po cichu wydobędą schowane tam łupy i że większość z nich uda im się zatrzymać.

— Wiem, że niektóre kryjówki zostały odnalezione.

Dziennikarz machnął ręką.

— Drobnny ułamek... Wiele z przedmiotów odnalezionych zaraz po wojnie natychmiast zarekwirowali idący za Armią Czerwoną sowieccy trofiejszcziki i wywieźli je na wschód. Także nie udało się ich odzyskać.

— Ma pan przy sobie ten list? — Maciej zmienił temat rozmowy na bardziej aktualny.

— Jasne. Przyjechałem do pana jako do specjalisty od szyfrów i tajnych wiadomości. — Zaklicki sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. — Proszę bardzo. Niech pan przeczyta i powie mi, co pan o tym sądzi. Czy mam jechać do Adama? Właściwie to i bez pańskiej rady wiem, że powinienem odwiedzić starego, chorego druha.

Zresztą napisałem do niego, że przyjadę w najbliższym czasie. To mój obowiązek. Muszę się wybrać do niego.

— I ja tak sądzę, ale może w liście znajdziemy wskazówki, co należy przedsięwziąć przed wyjazdem.

Pan Zaklicki wstał, wychylił duszkiem szklanekę i powiedział:

— Czas na mnie. Mam parę spraw do załatwienia w mieście. Jeżeli pan pozwoli zgłoszę się jutro po list i po pańską opinię na jego temat. Jaka godzina panu odpowiada?

— Od czwartej po południu będę w domu i będę tu czekał na pana.

Uścisnęli sobie ręce i Maciek został sam.

Sięgnął po list.

Drogi Michale,

Nie wiedziałem do tej pory, że Zaklicki ma na imię Michał — pomyślał.

Od dawna nie miałem żadnych wiadomości od Ciebie. Ja też długo nie pisałem. Jakoś trudno mi się zmobilizować. Pisanie listów nigdy nie było moją mocną stroną. Poza tym nie mam o czym pisać. W moim wieku czas schodzi przeważnie na odwiedzinach u lekarzy, w aptekach albo w ambulatoriach.

Ostatnio nie czuję się dobrze. Przydzielono mi do opieki pielęgniarkę z tutejszego szpitala. Polkę. Coraz więcej polskich pielęgniarek podejmuje tutaj pracę. Mówią, że w kraju przymierają głodem, a tu mogą godziwie zarobić. Dobrze jest mieć taką troskliwą opiekę, jaką mam teraz. Nieraz mówię: siostró, niech pani już idzie do domu, dam sobie radę sam. A ona na to: za to mi płacą, że jestem przy panu. Miłe to, ale trochę krępujące, bo nic się nie da ukryć przed tą młodą, śliczną osobką.

Przeważnie wyleguję się w łóżku, gapiąc się w telewizor, albo siedzę w fotelu przy oknie i łykam lekarstwa. Ot, prawdziwa starość. Już prawie skończyłem z malowaniem i od dawna nie występuję z moimi Jazz Seniors, ani nie komponuję dla nich. Ale ułożyłem właśnie małą melodyjkę dla Ciebie. Tak na wszelki wypadek.

Chciałbym Cię zobaczyć jak najszybciej. Jestem coraz bardziej samotny. Pospiesz się.

Nie zapomnij o niebieskim krawacie.
Chciałbym Ci ofiarować wszystkie moje
obrazy, ale wiem, że są one niewiele warte.
Wybierz sobie chociaż jeden.

Dalej następowały zwyczajowe pozdrowienia,
podpis, miejscowość i data. Na końcu widniał bardzo
starannie narysowany krótki fragment utworu
muzycznego:



Nie sprawia to wcale dziwnego wrażenia —
pomyślał Maciek. — Znając wcześniejsze wydarzenia,
łatwo się domyślić, o co chodzi autorowi listu. Dla mnie
są tylko dwie niejasności: niebieski krawat i te nuty.
Zaklicki nie powinien mieć z nimi problemów. Może
obiecał przywieźć Nowakowi krawat z Polski, ale
przez te lata zapomniał o tym. Ja tego nie rozstrzygnę.

Przyjrzał się nutom.

Hmm, wykaligrafowane pedantycznie, prawie jak drukowane.

Pięciolinia narysowana od linijki. Zazwyczaj muzycy nie rysują nut w postaci czarnych kółek. Stawiają tylko ukośne kreski na odpowiedniej wysokości i dodają „chorągiewki” oznaczające długość brzmienia. Bardzo się staruszek starał — podziwiał Maciej. — Ciekawe, jaka to melodyjka.

Trzeba zagrać ten krótki utwór.

Ale na czym?

Nie miał w domu żadnego instrumentu muzycznego, a jego praktyczne umiejętności muzyczne ograniczały się do sylabizowania nut i klepania jednym palcem w klawisze fortepianu. Ale od czego jest komputer?

Komputer osobisty to doskonałe narzędzie pod warunkiem, że posiada odpowiednie oprogramowanie. Maciek nie dysponował jednak programem do odtwarzania partytury. Chwila zastanowienia i znalazł na to radę.

Napiszę mały program — postanowił. — Już pod DOS-em, lata temu, napisałem w QuickBASICu coś

podobnego. Teraz, w dobie komputerów multimedialnych, będzie to jeszcze łatwiejsze niż dawniej.

Niestety okazało się trudniejsze.

Nie wiadomo z jakiego powodu, nowy Visual Basic pracujący w systemie Windows nie posiadał starej instrukcji PLAY, której parametrami były między innymi długości nut i ich wysokości. Dla przykładu: ćwierćnutę C (do) wpisywało się w postaci L4C, a półnutę D (re) jako L2D, przy czym czas trwania dźwięku, oznaczany literą L od angielskiego wyrazu length czyli długość, trzeba było podawać tylko wtedy, gdy różnił się od podanego poprzednio. Na przykład dwie kolejne ćwierćnuty można było zakodować w postaci L4CA. Kropki po nutach oznaczające wydłużenie nuty o jej połowę funkcjonowały w QuickBASICu tak samo jak w zwykłym zapisie nutowym. Oktawy określało się za pomocą parametru O z odpowiednią liczbą. Domyślnie przyjmowana była oktawa O3.

W Visual Basicu brakło tej prostej instrukcji i trzeba było sporo zachodu, żeby tworzony przez

Maćka program przyjmował taki sposób zapisu nut. Konieczne było napisanie specjalnej procedury.

Zaczął się biedzić nad jej opracowaniem.

Nie zależało mu ani na efektownej formie grającego programu, ani na przydatności do późniejszych zastosowań. W melodii nie występowały krzyżyki i bemole. To upraszczało zadanie, lecz mimo to minęło kilka godzin zanim program nadawał się do przetestowania. Na tym etapie należało wprowadzić prosty zapis nutowy i posłuchać, jak go odtworzy komputer. Na pierwszy ogień poszła najzwyklejsza g a m a CDEFGABO4C. Rezultat był zgodny z oczekiwaniem.

(Osobom przyzwyczajonym do literowych nazw nut używanych dawniej w Polsce trzeba w tym miejscu wyjaśnić, że w zapisie stosowanym w krajach anglojęzycznych nutę si zapisuje się jako B, a nie jako H.)

Zadowolony z efektu pracy Maciek wyciągnął z regału śpiewnik.

Otworzywszy go na chybił trafił, znalazł dobrze znaną kolędę.

wprowadzaniu danych do programu. Końcowa nuta G została wprowadzona przez kompozytora prawdopodobnie tylko ze względów harmonicznych. Chociaż, kto wie?... Może to skrót zrozumiały tylko dla Zaklickiego.

Cały trud Beliny włożony w napisanie programu okazał się zbyteczny. Nie było potrzeby wysłuchiwania utworu. Jego, rzecz można, wydźwięk był widoczny jak na dłoni. CAFE BAGDAD. Po francusku byłoby CAFÉ, ale – naturalnie – Nowak nie miał do dyspozycji nuty É. Ze zwykłym E to chyba po hiszpańsku. A w ogóle to słowo café jest używane powszechnie w wielu krajach w nazwach kawiarni i podobnych lokali. Pisane jest na różne sposoby. Na przykład, przez dwa e po niemiecku, a przez dwa f po włosku.

Maciek przypomniał sobie, ile czasu zajęło mu rozszyfrowywanie zagadek Lipowca i Ostrężnika, z którymi zetknął się poprzednio, ile trudu włożył w odnalezienie ich ukrytych znaczeń. Tym razem poszło jak z płatka. Rozwiązanie pojawiło się, zanim zaczął poważnie się nad nim zastanawiać. Był zadowolony, ale

trudniejsze problemy dały mu w przeszłości większą satysfakcję.

Błyskawicznie odniesiony sukces zachęcił do dalszych wysiłków.

Maciej zaczął się zastanawiać nad znaczeniem rozszyfrowanego hasła. Kawa Bagdad? Może Kawiarnia Bagdad? W liście brak jakiegokolwiek wzmianki o kawiarni. Bagdad nie kojarzy mi się ani z Niemcami, ani z Polską, ani z malarstwem, ani też z żadną ze znajomych osób, raczej z Szecherezadą i baśniami z tysiąca i jednej nocy. Ale z pewnością Michał Zaklicki zrozumie znaczenie tych słów. On posiada więcej informacji o sprawie. Jutro znajdziemy wyjaśnienie tej tajemnicy.

Wniosek jest jeden: coś się za tym kryje!

* * *

Gdy nerwowe miłe podniecenie wywołane nieoczekiwanym odkryciem opadło, Maciek mruknął do siebie:

— Dajmy teraz odpocząć szarym komórkom.

Postanowił odświeżyć swoje skromne wiadomości o Kotsisu. Pogrzebał w domowej bibliotece i zaczął przeglądać wyszukane w niej książki.

Najpierw ustalił dokładne ramy czasowe: wielki malarz urodził się we wsi Ludwinów w 1836 roku, zmarł w Podgórzu w 1877. Obecnie obie wymienione miejscowości, leżące na prawym brzegu Wisły, znajdują się w granicach Krakowa.

Ojciec artysty przybył z Lewoczy na Słowacji, która – tak jak Galicja – należała wtedy do Austrii. W momencie jego osiedlenia się w Ludwinowie leżący po drugiej stronie Wisły Kraków stanowił wraz z przyległymi gminami niezależną Rzeczpospolitą Krakowską. Został zajęty przez Austriaków dopiero w roku 1846, w którym rodzina Kotsisów przeniosła się do Podgórza. Początkowo Aleksander, zmuszany przez ojca, musiał łączyć naukę malarstwa z pracą w rodzinnym – raz lepiej, raz gorzej prosperującym – sklepie. Tę nieznośną dla niego sytuację zmieniła dopiero sprzedaż jego pierwszych obrazów i, przypuszczalnie, wstawiennictwo dyrektora krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych. Do najbliższych

kolegów Kotsisa na tej uczelni należeli Jan Matejko i Artur Grottger, z którymi przyjaźnił się przez wiele lat, także po ukończeniu studiów. Wspólnie podejmowali wycieczki, najczęściej w pobliskie góry, a Kotsis już w czasie studiów uchodził za wielkiego miłośnika Tatr.

W 1857 roku zadebiutował na wystawie w krakowskim Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych, w którym przez wiele następnych lat regularnie wystawiał swoje prace. Później studiował krótko w Akademii Sztuk Pięknych w Wiedniu, a jeszcze później w Warszawie, Paryżu i Brukseli. Następne lata, spędzone w Krakowie, to okres wyjątkowej twórczej pracy aż do przedwczesnej śmierci spowodowanej nieuleczalną chorobą mózgu. Żył tylko czterdzieści jeden lat

W twórczości Kotsisa dominowały tematy z życia podkrakowskiej i podhalańskiej wsi. Wychowując się i zdobywając wykształcenie początkowo w dosyć trudnych warunkach materialnych, Kotsis potrafił się wczuć w beznadziejne położenie chłopów i z prawdziwym autentyzmem ukazać skrajną nędzę galicyjskiej wsi, a szczególnie wiejskich dzieci. Niestety,

jego nastrojowe dzieła przepojone głębokim smutkiem, odsłaniające przerażającą prawdę o losie chłopów, nie znajdowały łatwo nabywców wśród polskich burżujów, pragnących przystroić swe mieszkania scenami pogodnymi, nie-wywołującymi u nich wyrzutów sumienia. Dla zarobku musiał tworzyć również obrazy bliższe gustom dobrze sytuowanych mieszczuchów. Ciekawe, że jego prace cieszyły się uznaniem i były kupowane w Wiedniu i Monachium.

Był mistrzem przedstawiania wnętrza chat wiejskich. Światło i cień, przytłumiony koloryt, statyczne postacie tworzyły szczególną atmosferę. Mimo realizmu, czasem nawet naturalizmu jego twórczości ważniejsza dla niego była ekspresja i emocje, jakie starał się przekazać oglądającemu. Jego sztuka w pełni zasługuje na miano zaangażowanej społecznie.

Oglądając reprodukcje dzieł Kotsisa, Maciek wpadł w melancholijny nastrój. Udzieliła mu się atmosfera smutku, cierpienia i bez-nadziei. Tylko wielki artysta mógł stworzyć arcydzieła tak mocno przemawiające do widza, jednak ze względu na ich tematykę i klimat uczuciowy nie zdobył takiej

popularności jak malarze gloryfikujący polskie dzieje, pokazujący wesołe scenki z życia bogaczy lub choćby wieś sielsko-anielską.

Matula pomarli – Maciek zapisał na kartce informacje zamieszczone w monografii Jerzego Zanozińskiego – olej, 41 × 60 cm, dzieło wystawione po raz pierwszy w 1868 r., miejsce przechowywania niewiadome.

Rozmiar prawie taki sam jak obecny format A2 — zanotował w pamięci. — Jak większość obrazów Kotsisa utrzymany w tonacji brązów. Niezbyt wiele tych danych — podsumował. Badał uważnie reprodukcję w poszukiwaniu podpisu malarza, ale jej kiepska jakość nie pozwalała na rozróżnienie tak drobnych szczegółów. W prawym dolnym rogu odkrył niewyraźną liczbę 68, a raczej domyślił się jej, i to było wszystko, co udało mu się odczytać.

Porządkując książki, Maciek myślał o dziwnym zbiegu okoliczności: Matejko, Grottger i Kotsis nosili niepolskie nazwiska i po-siadali przodków przybyłych do Polski z innych krajów. Oboje rodzice Jana Matejki byli z pochodzenia Czechami. Babka Artura Grottgera,

której nazwisko nosił, przyjechała ze Szwajcarii. Ojciec Aleksandra Kotsisa miał nazwisko mogące wskazywać na pochodzenie z dalekiej Grecji, ale wymawiał je Koczisz, jak węgierskie słowo kocsis czyli woźnica, furman. Mały Olek nazywany był przez kolegów Koczysiem.

Można jeszcze wspomnieć innych dziewiętnastowiecznych malarzy polskich o obco brzmiących nazwiskach. Gerson, Mehoffer, Brandt – wszyscy ci artyści byli gorącymi patriotami, a ich twórczość wzbogaciła naszą kulturę i stworzyła złoty wiek polskiego malarstwa.

* Opis przygód Beliny w Częstochowie i Złotym Potoku znajdzie Czytelnik w powieści pt. Testament pradziada. Wcześniejsze przygody opisane są w książce Zagadkowy gryps.

Rozdział II

CYGANIE I KOMINIARZE

Michał Zaklicki przybył prawie kwadrans przed umówionym terminem. Przywitawszy się, od razu przystąpił do rzeczy.

— Podjąłem decyzję. Jadę do Niemiec.

— Taka była prośba pańskiego przyjaciela.

— Tak, ale miałem wątpliwości... — Przerwał. —

Odkrył pan coś? — zapytał, spoglądając na leżący na stole list i notatki Maćka.

— Tak mi się wydaje. Proszę spojrzeć, co otrzymujemy, zapisując tę melodię za pomocą liter.

Podał Zaklickiemu kartkę z uzyskanym hasłem. Ten wziął kartkę do ręki i długo się w nią wpatrywał.

— Café Bagdad GP. Café Bagdad GP — powtórzył i zamrugał oczami. — Jak pan na to wpadł? Co to ma oznaczać?

— Samo wyszło, niemal przypadkiem. To są po prostu literowe nazwy nut zapisanych przez pana

Nowaka.

— Nie bądź taki skromny, młody człowieku. Wiedziałem, że masz łeb na karku. Dobrze, że się do ciebie zwróciłem. Ale nadal nie rozumiem, jaki te słowa mają sens.

— Myślałem, że pan mi wyjaśni co one znaczą. Może zna pan kawiarnię o takiej nazwie?

— Nigdy o niej nie słyszałem.

— Może w Chociebużu.

Zaklicki zastanawiał się chwilę.

— Nie. Nie sądzę, chociaż... — wahał się. — Nie. Diabli wiedzą. Jak mogę pamiętać jakąś głupią knajpę? — Rozłożył ręce w zdenerwowaniu.

— Ja nic więcej nie mogę zrobić — westchnął Maciek.

— Zrobił pan wystarczająco dużo. Ech, gdybym mógł zatelefonować do Adama... Od dawna jego telefon się nie odzywa. Zmienił numer, czy zepsuł mu się telefon? Muszę się wybrać w podróż do Niemiec.

Zastanawiał się znowu przez dłuższy czas, po czym zwrócił się z pytaniem do Beliny.

— Czy może pan ze mną wyjechać na kilka dni?

Pokryję wszystkie koszty. Staremu człowiekowi przyda się młody, sprytny pomocnik. Ma pan paszport?

— Zaskoczył mnie pan — odpowiedział Maciek (i była to prawda). — Paszport mam, ale nie wiem, czy dostanę z pracy urlop.

Dopiero co wziąłem tydzień wolnego. Przewiduję trudności.

— Niech pan załatwi, co trzeba. Ja wracam do siebie do Częstochowy i szykuję się do drogi. W ubiegłym tygodniu kupiłem nowego nissana. Dotrę go na autostradzie. Tak jest znacznie lepiej, niż jeżdżąc po mieście. Jutro zadzwonię do pana i jeżeli wyrazi pan zgodę, przyjadę po pana pojutrze z samego rana.

Maciek w pośpiechu zbierał myśli. Uśmiechała mu się nowa przygoda, ale zdawał sobie sprawę z rozlicznych kłopotów.

— Nie umiem mówić po niemiecku — wykręcał się.

— Ja będę mówił. Pan za to pewnie zna angielski.

— Radzę sobie po angielsku i po rosyjsku.

— Rosyjski chyba się na nic nie przyda, ale angielski może tam być przydatny. Ma pan prawo

jazdy?

— Mam.

— Będzie pan moim zmiennikiem za kierownicą. To kawał drogi, a prowadzenie samochodu mnie męczy.

— Kiepski ze mnie kierowca. Nie mam własnego samochodu, więc brak mi doświadczenia. Rzadko prowadzę.

— Nie szkodzi. W razie potrzeby poradzi pan sobie. Jazda po autostradzie to żadna sztuka.

Maciek już podjął decyzję, ale jeszcze się droczył.

— Mam jeszcze czas do namysłu. Jutro dam panu odpowiedź.

Zaklicki machnął ręką.

— W porządku. Tak czy siak ja będę gotowy już jutro. Pakowanie, trochę gotówki, karta kredytowa i mogę ruszać w świat. Ach, nie. Psiakość, muszę znaleźć prezent dla Adama. Nienawidzę kupowania prezentów. Nie mam konceptu, co mu kupić.

— Proponuję krawat.

— Co? Co pan z tym krawatem?

— Przecież pan Adam prosił o niego w liście.

— Aha. Niech będzie, ale to stanowczo zbyt mało. Adam zasługuje na dużo więcej.

— Nic innego nie potrafię panu podpowiedzieć. Ja też nie umiem kupować prezentów.

— Trudno, to moje zmartwienie. Pan niech się tym nie przejmuje. Coś wymyślę. W Krakowie łatwo się robi sprawunki.

Trzeba tylko mieć pieniądze — pomyślał Maciek.

Korpulentny dziennikarz spieszył się do miasta i wkrótce pożegnał gospodarza. Na odchodnym uśmiechnął się i rzekł:

— Będzie ciekawie.

Też na to liczę — cieszył się w duchu Belina.

— Do zobaczenia.

— Do widzenia.

Gdy drzwi od windy zatrzasnęły się za Michałem Zaklickim, Maciek usiadł na sofie i zadumał się nad sprawą, w którą się wplątał.

Miał wziąć udział w próbie przemycenia dzieła sztuki przez granicę.

W razie wpadki perspektywa była ponura: niemieckie więzienie.

Udana akcja nie przyniesie mu osobistych korzyści, jedynie satysfakcję. Na dłuższą metę tego rodzaju sukcesy mszczą się na ich twórcy; wywołują zazdrość mniej utalentowanych kolegów i zwierzchników i w rezultacie utrudniają życie. Sukces wyłącznie spektakularny, który nie przynosi pieniędzy, ani nie daje władzy, staje się w ostatecznym rozrachunku kulą u nogi.

Rozum podpowiadał mu, że udział w ryzykownej aferze nie ma sensu. Ale Maciek nie nazywałby się Belina, gdyby usłuchał głosu tchórzliwego rozsądku. W każdej chwili mogę się wycofać — usprawiedliwiał się przed samym sobą. — Jeżeli pojawi się realne niebezpieczeństwo, to wtedy zrezygnuję z uczestniczenia w tym przedsięwzięciu. Człowiek rozważny unika niebezpieczeństw, ale nie kapituluje z góry, tylko dlatego że może się na nie natknąć.

* * *

Żeby dostać trzy dni urlopu, musiał solennie obiecać kierownikowi, że w terminie zakończy prace

nad rozpoczętym programem.

Końcowy dzień się zbliżał, a z doświadczenia wiedział, że na finiszu zwykle zdarzają się niespodzianki, które owocują dodatkową ilością pracy.

Pocieszał się nadzieją, że tym razem nie musi być tak źle.

Po pracy postanowił przejść przez miasto.

Podjechał tramwajem pod stację. Stamtąd przez Planty chciał dojść do Szpitalnej i dalej na Rynek. Przechodząc koło wózka z obwarzankami, odruchowo sięgnął do kieszeni, chcąc sprawdzić, ile ma drobnych pieniędzy. Gdy rozwarł dłoń, wypadła mu z niej pięciozłotówka i poturlała się pod nogi młodej Cyganki. Ta błyskawicznie podniosła monetę i zaoferowała w zamian swoje usługi:

— Powróżę wam, panocku. Niech pan siądzie na ławeczce. Karty wam postawię.

Wyciągnęła talię mocno zniszczonych kart.

— Karta prawdę powie. — Kierowała się ku pustej ławce.

Maciek zrozumiał, że nie uda mu się odzyskać monety. Mógł tylko potraktować upuszczone pięć

złoty albo jako jałmużnę, albo jako zapłatę za niepotrzebną mu usługę. Zdecydował się na drugą alternatywę. Może upadek monety w tym miejscu to szczególne zrządzenie losu?

Usiadł, zostawiając na ławce wolne miejsce pomiędzy sobą a wróżbiarką, która już tasowała mocno zniszczone karty. Podawała mu je do przełożenia.

— Lewą — pouczyła go, gdy zabrał się do tego niewłaściwą ręką.

Wróżba dla mańkutów — pomyślał żartobliwie, ale posłusznie zmienił rękę.

Obrzuciła go uważnym spojrzeniem, po czym wyłożyła na ławkę cztery karty, bez pośpiechu, jedną po drugiej. Maciek patrzył uważnie, zaciekawiony, co usłyszy. Dziesiątka pik, król pik, walet kier i dama pik – w takiej kolejności pojawiły się karty.

— Karta prawdę mówi. Widzę, kawalerze, (Maciek pomyślał: Spozstrzegawcza. Zauważyła, że nie mam obrączki.) widzę długą drogę, tak, daleką podróż (A niech to!) w towarzystwie starszego mężczyzny i kobiety. (Starszy pan? Zgadza się. Ale kobieta??) Cyganka zastanawiała się chwilę.

— To nie małżeństwo. Kobieta-brunetka po twojej lewej stronie, może twoja narzeczona, a może dopiero zostanie narzeczoną.

Znowu rzuciła na niego okiem. Maciek starał się zachować kamienną twarz.

— Ma pan narzeczoną?

— Nie mam — wyrwało się Maćkowi, choć wcześniej postanowił nie ułatwiać Cygance wróżb przez udzielanie jej informacji o sobie.

— Karta prawdę powie. Daj, paniczu, jeszcze parę złociszów, to powiem, co cię spotka dalej — zaproponowała wróżka.

Maciek sięgnął do kieszeni po drugą piątkę. Uznał, że pięć złotych nie majątek, a wróżba zaczęła się intrygująco.

Śniada dziewczyna złapała monetę, przerzuciła przez ramię połę pomarańczowej narzutki, która jej się zesunęła na ławkę, i rozłożyła z namaszczeniem następne cztery karty. Same kiery. Piątka, czwórka, trójka i dwójka.

Ale dziwny przypadek — zauważył Maciek. — Chyba talia nie jest kompletna. Wygląda podejrzanie.

Zbyt cienka jak na pięćdziesiąt dwie karty.

— Musisz niedługo podjąć ważną decyzję — zaczęła Cyganka.

— Nie spiesz się pan. Nie ryzykuj. Trzeba się dobrze namyślić, nie decydować na łapu-capu. Będą kłopoty, zamieszanie i bałagan, ale wszystko się dobrze skończy...

Tak wróżyć to i ja potrafię. — Teraz Maciek był zwyczajnie zawiedziony tym, co usłyszał. — Każdemu mogę udzielić takich rad. Mniejsze lub większe decyzje trzeba podejmować codziennie. Dobrze jest się przedtem zastanowić. Jasne jak słońce.

— ...bo na końcu widzę pomoc i przyjaźń. Może to więcej niż przyjaźń. Może miłość — dokończyła wieszczka.

Mówiąc to, cały czas nie spuszczała oczu z jego twarzy. Maciek zrobił pogardliwą minę. Nie zniechęciło to wróżbitki.

— Dajcie jeszcze grosik, powrózę dalej. Karta prawdę powie, co w myśli, co w sercu, co cię czeka.

— Nie mam już pieniędzy. — Zerwał się z ławki. — Dziękuję.

Wystarczy. Już wszystko wiem.

Cyganka nad podziw łatwo dała za wygraną.

Szedł ulicą Szpitalną i nie mógł przestać myśleć o tym, co właśnie usłyszał. Nie wierzył we wróżby. Ludzkość nie nauczyła się jeszcze dobrze przepowiadać pogody mimo wieloletnich obserwacji, pomiarów, satelitów meteorologicznych i komputerów. Jak nieznaną go wcale kobieta może przewidzieć, co go spotka? Karty? Bzdura. Karty są dobre do rozmaitych gier i sztuczek, ale nie do odgadywania przyszłości. Przesąd, zabobon. Najzwyklejszy, czysty przypadek sprawił, że wyprorokowała mu podróż i starszego mężczyznę. Reszta to były ogólniki, które pasują do każdego człowieka. Kłopoty. Kto ich nie ma? Kobieta. Daj, Boże, ładną dziewczynę. Ale brunetka? Nie dla mnie. Tu się Cyganicha totalnie minęła z moim gustem.

Doszedł do Rynku. Tu zapomniał o przepowiedni. Obszedł spacerkiem trzy strony tego wielkiego placu, zaglądając tu i ówdzie do sklepów. Okrążył Sukiennice. Wszedł do sklepu z pamiątkami, w którym dawno temu zobaczył prześliczną błękitnooką ekspedientkę.

Wreszcie przysiadł u Noworolskiego pod arkadami, żeby wypić zimną colę.

Zadumał się nad genialnym planistą, który zaprojektował w centrum średniowiecznego miasta czterohektarową pustą przestrzeń.

W mieście otoczonym murami, ścieśnionym do tego stopnia, że kamienice musiały być tak wąskie, że mogły posiadać na kondygnacji tylko po dwa okna od strony ulicy, olbrzymi obszar został przeznaczony na cele publiczne, czyli zapewne w pojęciu wielu ówczesnych „deweloperów” zmarnowany. Dzięki temu „marnotrawstwu” krakowski Rynek od stuleci służy z powodzeniem miastu obecnie prawie milionowemu.

Nie wiadomo skąd, pojawiła się niewielka romska orkiestra grająca ognistego czardasza. Pierwszy skrzypek był prawdziwym wirtuozem. Słuchając muzyki i obserwując zręczność artysty, Maciek doszedł do wniosku, że wróżby cygańskie to nic, zero, nul w porównaniu z maestrią cygańskich skrzypiec.

Wrócił myślami do niezwyklej przepowiedni. Co za zbieg okoliczności! Z kart wynikała podróż, o której już wiedział. Już jutro prorocstwo ma się spełnić.

Niewiarygodne.

Należy się zbierać do domu — westchnął. — Trzeba poczynić przygotowania do wyjazdu. To tylko trzy dni poza domem, ale wypada się zabezpieczyć przynajmniej na jeden dodatkowy dzień. Może nie uda się wrócić tak szybko. Cyganka przepowiedziała kłopoty.

Muszę być gotowy na zmierzenie się z nimi.

* * *

Zbliżając się do bramy bloku, w którym mieszkał, zauważył komunikat spółdzielni mieszkaniowej naklejony na szybie. Dowiedział się z niego, że dzisiaj po południu miało się odbywać się sprawdzanie drożności przewodów kominowych. Rzucił okiem na zegarek.

Siódma. Chyba już dawno inspekcja się zakończyła. Kiedy powieszono to ogłoszenie? Nie zauważył go ani wczoraj, ani dziś rano, wychodząc do pracy. Rano mógł je przegapić w pośpiechu. Trudno, przyjdą do niego innym razem. Z pewnością nie tylko

on był akurat nieobecny w domu.

Machnął ręką.

Po chwili jechał windą na swoje piętro.

Wychodząc z niej, zobaczył dwóch kominiarzy w służbowych kombinezonach stojących pod drzwiami jego garsoniery. Przeprosił za spóźnienie i wpuścił ich do mieszkania.

— Dobrze, żeśmy przyszli drugi raz — powiedział jeden z kominiarzy. — Tylko pan nam został do kontroli.

Przyłożył mały wiatraczek do kratki wentylacyjnej w kuchni, potem w łazience. Ściągnął rurę odprowadzającą spaliny z gazowego podgrzewacza wody. Sprawdził ciąg.

— W porządku. Ciągnie jak smok — skomentował. — Ma pan drewnianą stolarkę? — skierował wzrok ku oknu.

— Tak.

— Bardzo dobrze. Ona zapewnia przepływ powietrza. Nie to, co te nowe szczelne okna. — Zaczął wypełniać jakiś formularz. — Pańskie imię i nazwisko?

— Maciej Belina.

— Proszę tu podpisać — kominiarz wskazał palcem miejsce.

Maciek złożył podpis.

— To dla pana. — Kominiarz wręczył mu protokół z inspekcji.

— Do widzenia. Życzymy powodzenia.

— Dziękuję — odpowiedział Maciek. — Proszę częściej. Kominiarze przynoszą szczęście.

Kolejny zabobon — pomyślał rozbawiony. — Trzeba było się złapać za czarny guzik, bo inaczej ten przesąd nie zadziała. — Uśmiechnął się. — Jeszcze jedna wróżba. Tym razem całkowicie pomyślna.

* * *

Tegoż wieczoru czekała go jeszcze jedna mała niespodzianka.

Włączył komputer, żeby sprawdzić pocztę. Potem uruchomił Internet Explorera. Postanowił przeszukać Internet. W wyszukiwarce wpisał Cafe Bagdad. Błyskawicznie otrzymał listę ponad miliona stron www zawierających wpisane słowa.

Pierwsza była, zgodnie z jej nazwą, oficjalna strona klubu Bagdad Cafe. Pod tym szumnym tytułem, kryła się informacja o łódzkim lokalu rozrywkowym. Maciek dowiedział się, że klub mieścił się w zabytkowej willi fabrykanta Stillera i był pierwszym lokalem postkomunistycznej Rzeczypospolitej Polskiej. Pracowali tu za barem aktorzy, artyści, menadżerowie i właściciele innych klubów w Łodzi i Warszawie. Bagdad Cafe było dla nich miejscem, gdzie nie tylko uczyli się nalewać drinki, ale także rozwijali swoje talenty plastyczne, literackie, muzyczne i organizacyjne. Początkowo grano tu głównie jazz. Obecnie odbywają się tu słynne już imprezy klubowe z muzyką house, reggae, funk, breakbeat i elektro.

Na internetowych stronach znajdowało się sporo informacji o działalności klubu, ale Maciek nie znalazł żadnego związku z Adamem Nowakiem ani z niczym, co by się łączyło ze sprawą zaginionego obrazu Kotsisa.

Druga strona na liście znalezionych omawiała amerykańsko-niemiecki film Bagdad Café (znany również pod tytułem Out of Rosenheim) z 1987 roku.

Jest to komedia, której akcja toczy się w moteliku dla kierowców ciężarówek gdzieś na Pustyni Mojave. Spotyka się tam grupa osób, wśród których prym wiodzie Jasmine, pulchna niemiecka turystka, która na środku pustyni opuściła męża po ostrej kłótni. Właścicielka motelu, Murzynka Brenda, także pozbyła się właśnie męża, wyrzucając go z domu. Oprócz nich jest jeszcze dwoje dzieci i wnuk Brendy, włoski kucharz oraz dziwaczny malarz dekoracji z Hollywoodu i „artystka” wykonująca tatuaże. Dzięki zamilowaniu do sprzątania i sztuczek magicznych Jasmin przemienia zapyziała, ospałą przydrożną knajpę w roziskrzony światłem kabaret, w którym coraz liczniej gromadzą się goście.

Tu łatwiej się można dopatrzeć podobieństw do naszej sytuacji — zastanawiał się Maciek. — Jest malarz i Niemka, ale na tym kończą się paralele. Nie widziałem filmu. Może jego obejrzenie pomogłoby w zrozumieniu znaczenia dwóch tajemniczych słów.

Następna strona www, wnioskując ze zdjęć, dotyczyła lokalu lub zespołu muzycznego. Tekst napisany znakami japońskimi był jeszcze trudniejszy do

zrozumienia niż szyfr Nowaka. Podobnie było ze stroną duńską.

Kolejna strona zawierała krótki tekst po portugalsku. Niezrozumiały. Następna, amerykańska, reklamowała kawiarnię w San Francisco. Potem Maciek przejrzał jeszcze kilkadziesiąt stron w różnych językach, które albo dotyczyły opisanego już filmu, albo nie udało mu się pojąć ich treści.

Internetowa kwerenda nie nasunęła mu nowego pomysłu. Kawiarnia w Łodzi, w San Francisco, na pustyni w Arizonie? Żadna z nich nie pasowała do Polaka, inżyniera, malarza i muzyka w jednej osobie, mieszkającego w Niemczech.

Maciek próbował jeszcze poszukiwań, stosując oprócz dwóch podstawowych dodatkowe słowa: Chociebuż, Cottbus, Niemcy, Germany i inne. Bez powodzenia. Zagadkowa Cafe Bagdad Nowaka pozostała nadal zagadką. Internet nie na wiele się tu przydał. Pozostało tylko liczyć na bliżej nieokreśloną pomoc wyprorokowaną przez Cygankę.

Wróżby, przewidywanie przyszłości? Niemożliwe. A jednak...

Znał co najmniej dwa przypadki zadziwiająco trafnych wizji przyszłych wydarzeń, przy których niejasne i pokrętne przepowiednie Nostradamusa stają się zwyczajnym bełkotem szarlatana.

Dwudziestego dziewiątego sierpnia 1883 roku dziennikarz o nazwisku Sampson bardzo realistycznie opisał w amerykańskiej gazecie Globe wybuch wulkanu na małej wyspie w pobliżu Jawy. Opisał go, nie ruszając się z redakcji, mimo że kataklizm wydarzył się na drugiej ziemskiej półkuli. Po kilku dniach do zachodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych dotarła fala tsunami, która potwierdziła prawdziwość relacji Sampsona. Później okazało się, że w tym właśnie dniu, w którym opisał on wybuch, rzeczywiście nastąpiła erupcja wulkanu na wyspie Krakatoa. W jaki sposób dziennikarz mógł się o niej dowiedzieć już tego samego dnia, pozostaje tajemnicą. Ówczesne środki techniczne nie pozwalały na błyskawiczne przekazywanie informacji, nie było radia, a telegraf nie pozwalał na nawiązanie połączenia z informatorem za oceanem.

Drugi splot wydarzeń jest jeszcze bardziej nieprawdopodobny.

W 1896 roku Morgan Robertson wydał przygodowo-fantastyczną powieść, której fabułę stanowiła pierwsza transoceaniczna podróż olbrzymiego statku o nazwie Titanic. Powieściowy statek miał 245 metrów długości, był wyposażony w trzy śruby napędowe, przewoził trzy tysiące pasażerów. Pewnej kwietniowej nocy zderzył się z górą lodową i zatonął w pobliżu wybrzeży amerykańskich. Początkowo katastroficzna książka nie wzbudziła specjalnego zainteresowania, ale szesnaście lat później stała się nagle bestsellerową opowieścią bliższą reportażowi niż fantastyce, bo w nocy z 14 na 15 kwietnia 1912 roku w pobliżu brzegów Ameryki poszedł na dno prawdziwy gigantyczny statek mający na pokładzie dwa tysiące osób. Tak jak w powieści, zderzył się z górą lodową, był długi na 250 metrów, posiadał trzy śruby napędowe i, tak jak w profetycznej książce, nazywał się Titanic.

Jak tu nie wierzyć w przepowiednie i prorocze wizje?

Ale żaden z „proroków” nie znalazł szczegółów swego objawienia w talii kart do gry.

Rozdział III

W DROGĘ

Środa wstała piękna, słoneczna i rześka. Maciek, przeciwnie, obudził się na dźwięk budzika niewyspany i nieświeży. Golił się i ubierał ślamazarnie. Pichcił śniadanie nieledwie ze złością. Dopiero po posiłku poczuł się lepiej, ale niebawem powrócił mu zły humor na widok stosu brudnych naczyń nagromadzonych w zlewozmywaku.

Przed wyjazdem musiały zostać umyte.

Najtrudniej było tę pracę rozpocząć. Potem poszło łatwiej. Gary zostały umyte, kwiatki obficie podlane, rybki w akwarium dostały podwójną porcję pokarmu.

— Znowu będziecie głodować przez kilka dni — przemawiał do nich Maciek, wrzucając im dwie kostki mrożonego wodzienia.

Czekając na Zaklickiego, sprawdził kilkakrotnie zawartość neseseru, który przygotował na podróż. Oprócz koszul, przyborów kosmetycznych i

podręcznych drobiazgów wpakował sweter i białe spodnie dżinsowe. Postanowił jechać w eleganckim garniturze. To nie jest wyprawa do jaskini. Jedzie do miasta, do nieznanego starszego człowieka. To zobowiązuje. Poeta mówi: Trza być w butach na weselu.

Do kieszeni wsunął rozmówki polsko-niemieckie. Na studiach uczęszczał przez dwa semestry na lektorat z niemieckiego, ale nie mając styczności z tym językiem, jego niemczyzna ograniczyła się do najbardziej popularnych słów i zwrotów. Język obcy jest podobny do rabaty kwiatowej. Niepielegnowany usycha stopniowo jak rośliny bez wody. Pozostają tylko najodporniejsze, a zarazem najpospolitsze kwiatki.

Zaklicki przybył później, niż można się było spodziewać. Narzekał:

— Strasznie się jeździ po Krakowie. Na szczęście dobrze znam to miasto i nie błędzę na objazdach. Wszędzie rozkopane ulice i gigantyczne korki. Straciłem dużo czasu. Musimy się spieszyć. Jest pan gotowy?

— Tak jest — w wojskowym stylu odparł Maciek,

chwytając przygotowany neseserek.

Przy windzie natknęli się na sąsiadkę z jamnikiem.

— Bardzo pan dzisiaj elegancki. Znowu pan wyjeżdża? — zagadnęła spoglądając na Maćkową walizeczkę. Jamnik tymczasem obwąchiwał nogawki Zaklickiego.

— Tak się złożyło. — Maciek wzruszył ramionami.

— Dopiero maj, a pan już taki opalony. Dokąd teraz?

Wścibstwo sąsiadki zezłościło Maćka.

— W świat — odburknął. — Tajna misja — dodał mrużąc oko.

— Najwyższy czas się ustatkować, panie Maćku, a nie włóczyć się ciągle po świecie. Gdybym nie wiedziała, gdzie pan pracuje, podejrzewałabym, że zajmuje się pan nieczystymi interesami — zażartowała.

Czyżbym miał wypisane na gębie, że zamierzam złamać prawo?

Maciek aż się lekko zaczerwienił.

— Wezmę sobie do serca pani radę — rzekł na odczepne.

— Dobrze pan na niej wyjdzie.

Podjechała winda i ceregiele i uprzejmości przy wsiadaniu pozwoliły na pominięcie milczeniem ostatniej uwagi panny Justyny.

Podczas jazdy na dół panowało milczenie. Potem kolejne certowanie się przy opuszczaniu dźwigu i znowu przy bramie. Po wyjściu z bloku Maciek rzucił krótko:

— Do widzenia za tydzień.

Jamnik pociągnął swoją panią w stronę krzaków, które spełniały rolę psiej toalety, tak że nie zdążyła nic więcej powiedzieć. Mężczyźni udali się na parking.

Nissan Zaklickiego lśnił metaliczną nowością. W bagażniku spoczywały dwie spore walizy. Maciek dołożył swój skromny bagaż, po czym ulokował się na siedzeniu obok kierowcy. Właściciel samochodu wycofał auto ostrożnie i ruszył w trasę.

Na pierwszy korek natknęli się już na ulicy Konopnickiej, ale za mostem Dębnickim nie napotkali więcej żadnych przeszkód. Po godzinie dotarli autostradą do Katowic. Stąd do Gliwic Zaklicki wybrał drogę przez Mikołów, bo górnośląski odcinek autostrady był dopiero w budowie. Dziennikarz poprosił Belinę, żeby go pilotowała, uważając na znaki

drogowe i sprawdzając trasę na mapie. Przejechanie trzydziestu trzech kilometrów zajęło im więcej czasu niż poprzednie siedemdziesiąt autostradą. Następny odcinek, od Gliwic do Nogawczyc, był łatwiejszy, lecz zużyli na jego przebycie kolejną godzinę.

Minęło południe, gdy wjechali na nową autostradę. Ciągłe jeszcze trwały na niej roboty drogowe; co chwila zachodziła konieczność przejeżdżania z jednej jezdni na drugą. Nissan nie mógł rozwinąć pełnej prędkości, a Zaklicki był coraz bardziej zmęczony i zły.

W Bielanach Wrocławskich albo w Kątach (Maciek nie mógł się zorientować) zatrzymał się na przydrożnym mopie i zarządził odpoczynek i posiłek.

MOP to skrótowiec pochodzący od miejsca obsługi podróżnych. Nazwa się przyjęła i funkcjonuje jak zwykły rzeczownik, choć niektórym kierowcom kojarzy się ze sprzętem do mycia podłóg, pękiem sznurków lub wstążek na kiju. Takie narzędzie jest również zwane z angielska mopem.

Przy piwie Zaklickiemu rozwiązał się język.

— Słyszał pan o złocie Wrocławia? — zagadnął Maćka.

— Dawno temu czytałem artykuł na ten temat.

— Pewnie Joanny Lamparskiej, mojej koleżanki po fachu. Pisuje w Słowie Polskim – to lokalna gazeta wrocławska – o wojennych tajemnicach Dolnego Śląska.

— Może. Nie pamiętam autora tego artykułu.

— Napisała dużo artykułów i książek o poszukiwaniach skarbów ukrytych przez uciekających z tych terenów hitlerowców. Zapamiętałem sprawę złota zgromadzonego we Wrocławiu przed wkroczeniem Armii Czerwonej.

Przez chwilę zbierał myśli.

— Pod koniec 1944 roku — kontynuował — Niemcy zaczęli gromadzić we wrocławskim Prezydium Policji zasoby złota z dolnośląskich banków oraz inne kosztowności. Na początku następnego roku skrzynie ze złotem przetransportowano w niewiadome miejsce lub w kilka miejsc. Ślad po nich zaginął. Prawdopodobnie ukryto je w podziemnych tunelach, jakich wiele w Sudetach. Robotników pracujących przy ukrywaniu wymordowano. Niekiedy po prostu pozostawiono ich w zawałonych sztolniach. Jedynie

garstka wyższych oficerów знаła usytuowanie tych schowków. Żaden z nich nie zdradził tajemnicy.

— Niemcy nie spodziewali się, że utracą cały Śląsk — powiedział Maciek — a już najmniej tego, że zostaną z niego wysiedleni. Sądziło, że po wojnie odkopią to, co schowali.

— Z pewnością — zgodził się dziennikarz. — Ale, być może, wrocławskie bogactwa nie zostały wywiezione z miasta, lecz ukryte na jego terenie. Pod Stadionem Olimpijskim, którego budowę rozpoczęto w 1925 roku, przed olimpiadą w Berlinie, znajdują się olbrzymie podziemia. Znane są trzy wejścia do nich, wszystkie zagruzowane i na pewno zaminowane.

— Z pewnością.

— Wrocław był wielką twierdzą. Jej budowę rozpoczęto jeszcze przed pierwszą wojną światową. Do końca drugiej wojny w mieście istniało około czterystu schronów i różnorodnych fortyfikacji, w tym cztery wielkie schrony przeciwlotnicze. W każdym mogło się pomieścić ponad tysiąc osób. Obiekty te były połączone tunelami. Działała też podziemna kolej prowadząca mniej więcej stąd, z Bielń, do

śródmieścia. Podobno pod Dworcem Głównym znajdował się drugi, podziemny dworzec.

— Całe miasto pod miastem — wtrącił Maciek.

— Niestety prawdopodobnie całe podziemia zostały zatopione, zalane wodą z pobliskiej Odry. Wejścia do nich starannie zamaskowano

— Dlaczego nikt nie próbował wykonać wierceń w poszukiwaniu podziemnych obiektów? Dla firm geotechnicznych i budowlanych wykonujących wiercenia pod fundamenty palowe to nie jest trudne zadanie. Na płycie stadionu można ustawić wiertnicę. Grunty w dolinie Odry to namuły osadzone przez rzekę. Łatwo da się je przewiercić. Jeśli pod nimi trafi się na beton, będzie to dowód, że pod stadionem istnieją tajne pomieszczenia.

— To jest całkowicie pewne. Nie ma potrzeby tego dowodzić. Cała trudność polega na tym, jak się do nich dostać. Mogą być wyposażone w cały system pułapek na niewtajemniczonych i niepożądanych gości.

Po obiedzie i odpoczynku, na stanowcze życzenie właściciela samochodu za kierownicą zasiadł Maciek. Rozluźnił krawat, rozpiął kołnierzyk koszuli i pomalutku wystartował. Początkowo czuł się niepewnie, prowadząc cudzy samochód, ale na zachód od Wrocławia ruch na autostradzie był niewielki, a sama droga wygodna, chociaż nie w pełni odpowiadająca nowoczesnym standardom. Zbudowana została przez Niemców przed wojną.

Słoneczna pogoda uprzyjemniała jazdę. Zaklicki uwolniony od pracy „za kółkiem” stał się bardzo rozmowny. Opowiadał o swojej dziennikarskiej pracy, o podróżach i spotkaniach ze znanymi osobami.

Maciek podjął inny temat.

— Co słyhać u państwa Hanyszkiewiczów?

Redaktor zorientował się w lot, jakie były Maćkowe intencje.

— Chodzi panu o Małgosię? Przecież minął ledwo tydzień od waszego rozstania. Co się mogło zdarzyć? Pojechała do Warszawy. Przecież tam studiuje. Tyle wiem.

Maciek trochę się zawstydził, że rozmówca tak łatwo rozszyfrował jego zainteresowanie.

— Wciąż myślę o tajemnicy pana Wojciechowskiego — usprawiedliwił się.

Dziennikarz uśmiechnął się wyrozumiale.

— Jasne. Ja też żyłem tym tematem, zanim przyszedł ten list...

W miarę zbliżania się do granicy tematyka rozmowy się zmieniała. Zaklicki rozprawił na temat Łużyc.

* * *

Serbowie Łużycy albo Łużyczanie to jedyny dziś szczątek licznego niegdyś odłamu Słowian Zachodnich zajmującego dawniej tereny między Kwisą a Soławą (obecną Saale). Od ósmego wieku musieli stawiać czoła orężnemu naporowi plemion germańskich. W 990 roku, po niemieckiej ekspansji, nastąpił kres niezawisłości politycznej wszystkich ziem łużyckich.

Częściowo opanował je Bolesław Chrobry w 1002 roku. Jego następca, Mieszko II, utracił je już po trzydziestu latach. Potem często zmieniali się władcy tych terenów: margrabiowie brandenburscy, Czesi, książęta śląscy, Węgrzy, saska dynastia Wettynów, Habsburgowie, wreszcie Prusacy.

Po drugiej wojnie światowej przyznano Polsce część Łużyc na wschód od Nysy, która stała się zachodnią granicą naszego państwa. Przesiedlenie ludności niemieckiej ze Śląska i czeskich Sudetów, której część osiedliła się na niemieckich Łużycach, bardzo pogorszyło sytuację demograficzną rodzimej ludności tego regionu. Teraz Serbołużycanie, których jest niecałe sto tysięcy, stanowią tylko kilka procent tamtejszej ludności.

Łużyce dzielą się na Dolne i Górne. Górne, czyli południowe, nazywano dawniej Miłskiem. Język górnołużycki jest zbliżony do czeskiego; dolnołużycki jest bliższy polskiemu.

Ciekawostką jest, że nasz Mazurek Dąbrowskiego stanowił inspirację dla wielu powstających w dziewiętnastym wieku hymnów i pieśni patriotycznych

narodów słowiańskich i na Łużycach śpiewano Hišće Serbstwo njezhubjene (Jeszcze Serbia – czyli Łużyce – nie zginęła). Niebiesko-czerwono-biała flaga Łużyczan zawiera te trzy kolory, które znajdujemy w różnych konfiguracjach na większości flag słowiańskich.

W latach 1937-1945 rdzenni Łużycanie znaleźli się w opresji. Jako wrzód słowiański na ciele Wielkich Niemiec zostali skazani przez hitlerowców na zagładę. Na szczęście te plany się nie ziściły. Przetrwały obyczaje i mowa. Po wojnie odrodziła się literatura łużycka. Istnieją serbskie organizacje kulturalne. W kilkunastu powiatach nazwy miejscowości, ulic i urzędów są podawane w dwóch językach.

Hišće Serbstwo njezhubjene.

* * *

Wszystko co dobre, ma swój kres. W Gołnicach nad Bobrem autostrada się skończyła, ale – na szczęście dla Maćka – dalsza droga była jeszcze

całkiem znośna. Wiodła przez lasy zwane Borami Dolnośląskimi, chociaż powinny właściwie nosić nazwę Borów Łużyckich. Dopiero poczynając od Iłowej, pojawiły się przy drodze zabudowania. Za Jagłowicami, pięć kilometrów przed granicą, panowie zamienili się miejscami. Kierownicę ujął znowu Zaklicki.

Przejście graniczne w Olszynie nad Nysą było podobne do innych miejsc tego typu. Zmitrężyli na nim sporo czasu, mimo iż kolejka samochodów osobowych była krótka i posuwała się w dużo szybszym tempie niż długi na kilometr sznur tirów. Oczekując na odprawę, studiowali mapę, aż nadeszła ich kolej.

— Guten Tag. Die Pässe, bitte.

Człowiek w mundurze sprawdził paszporty i zieloną kartę ubezpieczenia. Powiedział coś do Zaklickiego po niemiecku. Ten wysiadł i otworzył bagażnik. Mundurowy jednym spojrzeniem zlustrował wnętrze.

— Danke — rzucił krótko i oddał dokumenty, pokazując niedbałym gestem dłoni, że mogą jechać dalej.

Funkcjonariuszy polskiej straży granicznej nie było w zasięgu wzroku.

Rozdział IV

U CELU PODRÓŻY

Zaraz po przekroczeniu granicy znaleźli się na doskonałej autostradzie. Jechali w kierunku zachodzącego słońca. Kierowca narzekał, że świeci mu ono prosto w oczy. Maciek jako pasażer mógł się swobodnie rozglądać po okolicy niczym turysta na wycieczce krajoznawczej.

Znaki drogowe były tu dwujęzyczne: Forst – Barň, Spremberg – Grodk, Hoyerswerda – Wojerecy, Cottbus – Chošebuz. Mopy nazywały się po niemiecku hofami.

Minęli cztery węzły drogowe. Na piątym opuścili autostradę i od razu znaleźli się w mieście. Zaklicki pamiętał, że należało jechać prosto aż do skrzyżowania z Lipezker Strasse czyli, po łużycku, Lipjeckiej drogi, gdzie należało skręcić w lewo. Potem, za stacją kolejową, trzeba było jeszcze raz skręcić w Karl-Liebknecht-Strasse.

Na szczęście w porę rozpoznał właściwe skrzyżowania i zajął odpowiednie pasy ruchu, żeby skręcać w lewo. Wkrótce wyjechali z centrum i dotarli do zachodniego przedmieścia o nazwie Strobice zabudowanego schludnymi domkami jednorodzinnymi. Posuwając się niespiesznie, pokpiwali sobie z gipsowych figurek krasnoludków stojących w prawie każdym przydomowym ogródku.

Domki były w tej dzielnicy niewielkie ale schludne, zadbane i tonące w zieleni. Maćka zdziwiło, że z żadnego obejścia nie wybiegały na ich widok szczekające psy.

Czy tu ludzie nie chowają zwierząt?

Zboczyli z głównej ulicy w płataninę wąskich drózek. Krążyli nieznanymi uliczkami i – gdy trzeci raz znaleźli się w tym samym miejscu – Zaklicki uznał, że zablądził.

— Trzeba było się zaopatrzyć w plan miasta — mało odkrywczo stwierdził Maciek.

— Myślałem, że pamiętam, jak się dojeżdżało do Adama. Ale jednak mam mały problem. Nic to. Zastosuję starą sztuczkę zawodowych detektywów —

odparł na to Zaklicki. — Zapytam miejscowych ludzi.

Zobaczywszy grupkę bawiących się dzieci, zatrzymał samochód i podszedł do nich, pytając o ulicę, przy której mieszkał Nowak. Maciek nie kwapił się do wysiadania. Nie mówił po niemiecku, więc nie widział potrzeby asystowania w rozmowie z tubylcami.

Znów kluczyli po ciasnych uliczkach i jeszcze raz Zaklicki musiał się pytać o drogę. Tym razem udało mu się trafić na miejsce.

Rozpoznał dom Nowaka.

Zatrzymali się nieopodal bramy wjazdowej na posesję i podążyli ku małej furtce w ogrodzeniu. Dziennikarz, z zadowoloną miną, nacisnął przycisk dzwonka. Z wnętrza domu dobiegł odgłos brzęczenia. Nikt jednak nie wyszedł, aby ich wpuścić. Po drugim dzwonku tak samo. Zaklicki mruknął:

— Do trzech razy sztuka — i długo naciskał guzik.

Nic. Cisza.

— Pewnie nasz gospodarz wyszedł do miasta... A może jest w podróży... albo chory w szpitalu — zaniepokoił się przybyły gość.

— Cóż.. Będziemy czekać.

Wrócili do samochodu. Słońce stało tak nisko nad horyzontem, że nie było go widać za domami. Zbliżał się wieczór.

Czas mijał. Michał Zaklicki wiercił się niespokojnie na siedzeniu.

Wreszcie przemówił po dziennikarsku:

— Idę na wywiad.

Podszedł do najbliższej furtki. Zadzwoił.

Na ganku pojawił się siwowłosy mężczyzna. Widząc nieznanego, podszedł do bramki i zagadnął przybysza. Przez jakieś dziesięć minut rozmawiali, gestykułując. Do Maćka docierały strzępy rozmowy, ale nie mógł zrozumieć ani słowa.

Zaklicki wrócił wzburzony.

— Spóźniłem się. Adam umarł w zeszłą sobotę.

Maciek nie wiedział, co w takiej sytuacji ma powiedzieć. Zapadło milczenie.

Po następnych dziesięciu ponurych minutach Zaklicki odzyskał inicjatywę.

— Jedziemy do hotelu, póki jeszcze coś widać. Zaraz się zrobi ciemno. Potem powiem panu, czego się dowiedziałem.

Maciek nadal się nie odzywał.

Wracając w kierunku śródmieścia, zatrzymali się przy hotelu Dorotheenhof na Waisenstrasse, czyli Syrotowej drodze, w pobliżu terenów kolejowych. Syrotowa droga to po polsku ulica Sieroca. Zaklicki załatwił w recepcji formalności. Zamówił dwa pokoje jednoosobowe. Znajdowały się na drugim piętrze i sąsiadowały ze sobą przez ścianę. Okna wychodziły na spokojną, ale nieładną, podrzędną ulicę.

Zbiegli po bagaże. Maciek złapał walizki pana Zaklickiego, zostawiając mu do niesienia swój neseser. Na korytarzu, pod drzwiami pokoi, zamienili się rzeczami. Po podziękowaniu Zaklicki rzucił tonem nieznoszącym sprzeciwu:

— Za pół godziny spotykamy się na kolacji. Na dole jest restauracja.

Maciek natychmiast poczuł głód. Spojrzał na zegarek.

— Dobrze. Przyjdę, jak tylko się trochę odświeżę.

Rozpakowując się pośpiesznie, zastanawiał się, ile go będzie kosztowała taka wycieczka z noclegami w zagranicznych hotelach i stołowaniem się w

restauracjach. Czy to nie jest aby za drogie na jego kieszeń? No, jedną noc jakoś zdzierzę, a jutro pewnie będziemy już wracać do Polski. W tym momencie żal mu się zrobiło. Nie takiego końca się spodziewał. Chociaż, patrząc na to z drugiej strony, przyjechał tu tylko, żeby odzyskać obraz i to się z pewnością jutro stanie. Adama Nowaka nie znał, więc niewiele traci, nie mogąc się z nim spotkać.

Umył się z grubsza, zostawiając wzięcie prysznic na rano, i zmienił koszulę. Zamiast przyływu energii poczuł zmęczenie.

Zdziwił się, co go tak zmęczyło. Prawie nic nie robił przez cały dzień. Trochę popracował za kierownicą i to by go miało tak zmordować?

Głodny i zmęczony udał się do restauracji. Jego towarzysz podróży już siedział przy stoliku i popijał piwo.

— A, jest pan. Niech pan siada i posłucha — zagaił i przerwał, bo podszedł kelner i wręczył im jadłospisy.

Zajęli się wyborem potraw. Nazwy podano w trzech językach: niemieckim, angielskim i francuskim.

Maciek posługiwał się angielskim, ale kelner rozumiał wyłącznie swój ojczysty język, więc, żeby złożyć zamówienie, młody klient posłużył się szturchaniem palcem w menu.

— Jak mówiłem — zaczął ponownie Zaklicki — Adam zmarł w sobotę. Już jest po pogrzebie. Dowiedziałem się, że ostatnie dni spędził w szpitalu, z którego wcześniej przydzielono mu pielęgniarkę. Chcę z nią jutro porozmawiać. To jedna sprawa do załatwienia... Druga to wejście w posiadanie obrazu, po któryśmy przyjechali. Trzeba najpierw odnaleźć właściciela domu. Mam tu numer jego telefonu. — Dotknął kieszeni marynarki. — Dostałem go od sąsiada Adama. Po trzecie, muszę odwiedzić grób mojego przyjaciela. Bardzo go zawiodłem, zwlekając tak długo z przyjazdem.

Umilkł wzruszony. Pociągnął łyk piwa.

Głos zabrał Maciek.

— Czy uda się nam jutro wrócić do domu?

— Wątpię, ale niech się pan o nic nie martwi. Wszystkie wydatki, a przynajmniej większą ich część, pokryje wydawnictwo. Obiecałem mojej redakcji, że

napiszę przynajmniej dwa reportaże z tego wyjazdu. Możemy tu siedzieć nawet tydzień.

Maćkowi spadł kamień z serca. W takiej sytuacji pobyt w hotelu nie zagrażał jego płynności finansowej, jak się eufemistycznie nazywa brak tak zwanych środków płatniczych czyli, mówiąc po ludzku, pieniędzy.

Zajęli się pałaszowaniem kolacji. Maciek, mimo pustki w żołąd-ku, szybko doszedł do wniosku, że polska kuchnia nieskończenie przewyższa gastronomię niemiecką.

— Jeszcze dziś zadzwonię do Schwerdtfegra. Tak się nazywa facet, od którego Adam wynajmował dom.
— Zaklicki podjął przerwany temat. — Umówię się z nim i jutro pojedziemy po obraz. Może po Adamie pozostały jakieś zdjęcia, dokumenty. Chciałbym je przeglądać.

— A co z Bagdadem?

— Z Bagdadem? Ach, z Cafe Bagdad. — Przez chwilę starszy pan zbierał myśli. — Zaraz się zapytam, jak ją znaleźć.

Przywołał kelnera i długo z nim rozmawiał. Potem

streścił Maćkowi rozmowę:

— Ten człowiek stanowczo twierdzi, że w Chociebużu nie ma lokalu o takiej nazwie. Pracuje w swej branży od kilkunastu lat i nigdy nawet nie słyszał o takiej kawiarni.

— Ładny gips — jęknął Belina. — Jaki sens miała ta melodia?

Zaklicki rozłożył ręce w geście bezradności.

— Pan jest specjalistą od zagadek. Niech się pan głowi nad rozwiązaniem.

Właśnie — pomyślał złośliwie Maciek. — Łatwo powiedzieć: niech się pan głowi. Jeżeli Zaklickiemu, który dobrze znał Nowaka, nic nie mówi to określenie, to jak postronny człowiek może odgadnąć znaczenie tej egzotycznej nazwy. A coś ona przecież musi znaczyć. Może taka kawiarnia nie musi się znajdować w Chociebużu?

Jadł machinalnie, szukając w myśli możliwej lokalizacji tajemniczej kawiarni Bagdad.

Nagle zaświtał mu stary pomysł. Café to nie tylko kawiarnia, to także po prostu kawa!

Natychmiast podzielił się tą myślą z Zaklickim.

— Nie znam takiej kawy. — Dziennikarz przecząco kręcił łysą głową. — Może to miejscowy gatunek lub nazwa firmowa, ale jeżeli nawet tak jest, to też nic mi ona nie mówi. Popytam o nią jutro w sklepach.

Rozdział V

DZIEWCZYNA JAK MALINA

Zgodnie z ustalonym wcześniej planem spotkali się o ósmej w hotelowej restauracji przy śniadaniu.

— Za godzinę jestem umówiony w domu Adama ze Schwerdtfegrem — zaznaczył Zaklicki. — Wyczułem z rozmowy, że wcale nie miał ochoty się ze mną zobaczyć.

Jedli, prawie się nie odzywając do siebie. Każdy był pogrążony we własnych myślach. Kawę wypili paroma dużymi łykami i od stolika udali się wprost do samochodu.

Na miejscu stawili się przed umówionym terminem. Tym razem podeszli do furtki we dwóch. Na sygnał dzwonka stanął w drzwiach domu niski, tęgi, łysawy mężczyzna po sześćdziesiątce. Przypatrywał się przez chwilę gościom, po czym podszedł do ogrodzenia. Stanął przy furtce, ale jej nie otworzył.

Zaklicki się przedstawił. Tyle Maciek zrozumiał.

Dalej rozmowa była dla niego całkiem niezrozumiała. Toczyła się coraz szybciej i coraz głośniej, przeradzając się z czasem w gwałtowną awanturę. Obaj rozmówcy wymachiwali rękoma i stopniowo oddalali się od siebie. Wreszcie Schwerdtfeger pokazał im plecy i pomaszerował energicznym krokiem do domu, zostawiając przybyszów za płotem.

Otwierając drzwi, odwrócił się i warknął:

— Raus!

Wściekły Zaklicki zaklął po polsku tak, że Maćkowi zwiędły uszy.

— Ten drań nie chce mnie wpuścić. Nie pozwala mi się rozejrzeć po mieszkaniu Adama. Twierdzi, że miał zbyt wiele kłopotów ze swoim lokatorem, że Adam w ostatnich miesiącach nie płacił za elektryczność i on, Schwerdtfeger, poniósł straty z tego powodu. Oświadczył, że skonfiskował rzeczy pozostałe po Adamie, a obrazy, jakie były w domu, oddał w komis do jakiejś Kunstgalerie. Chce je sprzedać, żeby sobie odbić rzekome szkody. Łajdak. Powiedział, że jak chcę mieć pamiątkę po Nowaku, to mogę sobie kupić jego bohomaz. Tak się wyraził.

Podreptał ku nissanowi, zaciskając kurczowo pięści. Maciek obawiał się, żeby takie zdenerwowanie nie odbiło się na zdrowiu człowieka w, bądź co bądź, zaawansowanym wieku.

— Miał pretensje — perorował dalej Zaklicki — że Adam kazał odłączyć telefon i teraz trzeba zapłacić za ponowne podłączenie. Narzekał, że ogród jest zaniedbany. Pewnie by chciał, żeby umierający lokator troszczył się o koszenie trawnika. Co za mentalność! Chciwość, chciwość i jeszcze raz chciwość.

Powoli irytacja zamieniała się w rezygnację. Zaklicki oklapł i bezradnie wpatrywał się w deskę rozdzielczą. Milczał, wewnątrz przeżywając doznany afront i poniżenie.

Maciek zdecydował się przerwać te ponure refleksje.

— Mamy dzisiaj jeszcze dwie sprawy do załatwienia. Jedźmy do szpitala.

Zaklicki spojrział na niego roztargnionym wzrokiem.

— Przepraszam, co pan powiedział?

Maciek powtórzył swoje słowa. Wywołały pożądaną reakcję.

— Racja. Nic tu po nas.

Dziennikarz zapuścił silnik i skierował samochód w kierunku śródmieścia.

* * *

Carl-Thiem-Klinikum była położona w pobliżu trasy, którą pierwszego dnia wjeżdżali do miasta. Był to kompleks złożony z wielu budynków, ale niedługo trwało poszukiwanie właściwego.

Dysponując tylko nazwiskiem zmarłego pacjenta, nie znając oddziału, na którym był leczony, ani na co chorował, spodziewali się kłopotów i chodzenia od jednego punktu przyjęć chorych do drugiego. Zaczęli od pierwszego z brzegu budynku i w rejestracji Zaklicki zapytał o Adama Nowaka. Pracownica postukała w klawiaturę komputera i poinformowała krótko:

— Onkologie — po czym wyjaśniła, jak mogą znaleźć oddział onkologiczny.

Trafiwszy do odpowiedniego budynku, zwrócili się do siwowłosej rejestratorce o pomoc w odnalezieniu pielęgniarki, która opiekowała się niedawno panem

Nowakiem.

— Ein Moment — rzuciła krótko kobieta z za kontuaru. Poszwargotała w szybkim tempie z koleżanką, po czym podniosła słuchawkę telefonu, znowu zaterkotała niczym karabin maszynowy i po chwili zwróciła się do Maćka:

— Fraulein Malinowska kommt gleich.

Zaklicki przetłumaczył:

— Panna Malinowska zaraz przyjdzie.

— Danke schön. — Maciek wychrypiął podziękowanie. Na tyle pozwalała jego znajomość niemieczyny.

— Warten Sie, bitte. — Rejestratorka wskazała rząd krzeseł ustawionych pod ścianą.

Usiedli i czekali w milczeniu. Szpitalna atmosfera nie sprzyja głośnej konwersacji. Po rozejrzeniu się po sali pozostało im głównie wpatrywanie się w podłogę.

Z zadumy wyrwał ich damski głos.

— Jestem Anna Malinowska. Panowie mnie szukają?

Podnieśli się z krzeseł. Przed nimi stała młoda, ładna, wysoka brunetka od stóp do głów ubrana na

biało. Regularne, drobne rysy, długie włosy, duże bursztynowe oczy, pełne wargi z lekkim uśmiechem. Wszystko to razem tworzyło wzór ideału urody.

Zerwali się z krzeseł. Obaj równocześnie odpowiedzieli na zadane im pytanie:

— Tak.

— Tak.

— Czym mogę służyć?

Pan Zaklicki przedstawił siebie i Maćka, który instynktownie wyprostował się jak struna i wypiął pierś. Przywitali się i dziennikarz wyłuszczył powód, dla którego tu przybyli.

— Bardzo bym chciał się dowiedzieć kilku szczegółów na temat mojego zmarłego kolegi, Adama Nowaka. Wiem, że pani była przy nim. Czy może mi pani opowiedzieć o ostatnim okresie jego życia? — zakończył prosząco.

— Ależ oczywiście... Ale nie w tej chwili. Jestem w pracy. Za to po południu będę do panów dyspozycji.

— Uśmiechnęła się. — Chętnie porozmawiam z rodakami. Gdzie się spotkamy?

— Gdzie będzie dla pani najdogodniej —

pospieszył z odpowiedzią Zaklicki. — Pani zna to miasto lepiej niż my. Proszę wyznaczyć miejsce i czas.

Chwilka zawahania i niemal błyskawiczna decyzja:

— O piątej, czyli siedemnastej, w Graupenmühle, czyli Młynie Krupniczym, na Greifenhainer Strasse albo Malinskiej drodze, mówiąc po słowiańsku. To niedaleko stąd w kierunku torów kolejowych.

— Znajdziemy to miejsce. Mam teraz jeszcze jedną prośbę. Czy wie pani, gdzie pochowano Adama? Chciałbym przynajmniej odwiedzić jego grób.

— Wiem. Byłam na pogrzebie. Na cmentarzu na Strobicach, mniej więcej w miejscu, gdzie Kolkwitzer Strasse przechodzi w Berliner. Trzeba przejść przez cały cmentarz i szukać w pobliżu ogrodzenia przylegającego do terenów kolejowych. Znajdzie pan bez trudu.

Czy tutaj wszystko znajduje się koło kolei? — pomyślał Maciek.

Zaklicki podziękował miłej rozmówczyni oraz pani w recepcji i wyszedł na zalany światłem słonecznym dziedziniec. Gdy trafili do samochodu, rozpostarł przed sobą plan miasta, szukając miejsc wymienionych przez

młodą pielęgniarkę.

— Jesteśmy tu — odezwał się, podsuwając mapę Maćkowi. — Tutaj jest cmentarz, a tutaj ten młyn. Mamy czas do piątej. Wysadzę pana w pobliżu śródmieścia, żeby pan mógł zwiedzić miasto, a ja pojedę na cmentarz. Nie ma sensu tam pana ciągnąć. Spotkamy się w Graupenmühle. Zgoda? Nie zginie pan?

— Spoko. Nawet jeżeli się zgubię, to dużej straty nie będzie.

Postaram się jednak nie zablądzić i stawię się w porę na randkę z panną Anną.

— Ładna dziewczyna, prawda?

— Muszę przyznać, że nawet bardzo ładna. Kociak jak się patrzy.

— Mogłaby być modelką a nie szpitalną siostrą.

— Na modelki biorą chude szczapy, a ona ma odpowiednią ilość ciała... Wolę, co prawda, blondynki, ale chylę czoło przed tak klasyczną urodą.

— Co pan ma przeciwko brunetkom?

— W zasadzie nic, ale sam pan przyzna, że jak trzeba narysować czarownicę, to musi to być kobieta o

czarnych włosach i ubrana na czarno. Diabły też są czarne, czasem z czerwonymi dodatkami. Czerwone i czarne idzie ze sobą w parze. Nie lubię ani jednego, ani drugiego.

— Ależ pan ma skojarzenia!... Nasza nowa znajoma nie była ubrana na czarno.

— Była w służbowym szpitalnym mundurku. Zobaczmy, jak się ubierze po pracy.

— Ech, grymasi pan — uciął dyskusję Zaklicki i przekręcił kluczyk w stacyjce.

W samochodzie było gorąco i Maciek chętnie wysiadł przy znajomym skrzyżowaniu Bahnhof Strasse z Liebknechtową drogą. Z tego, w czym zdażył się do tej pory zorientować z planu miasta, wiedział, że najciekawsza część miasta leżała na wschód i północ od tego punktu. Mimo to wybrał kierunek południowy, bo – dojeżdżając do skrzyżowania – chwilę wcześniej zobaczył siedzibę banku. Rozglądał się za bankomatem, z którego mógłby podjąć nieco tutejszej gotówki. Nie wszędzie można zapłacić kartą. Brak marek był kłopotliwy, szczególnie wobec spodziewanego spotkania z piękną panną Malinowską.

Zainkasowawszy przy pomocy karty Maestro nieco niemieckiej waluty, postanowił natychmiast nabyć plan Chociebuża. Zawrócił.

W pierwszym kiosku kupił plan:

— Stadtkarte, bitte. — Tyle potrafił powiedzieć po niemiecku.

I rozpoczął zwiedzanie.

Na pierwszy ogień poszedł napotkany dom towarowy. Trzeba przecież kupić sobie pamiątkę z wycieczki. Może coś z porcelany miśnieńskiej. Może jakiś album. Obszedł prawie wszystkie stoiska, pooglądał, ale wstrzymał się z zakupami.

Następny obiekt to była już prawdziwa atrakcja turystyczna – Grodkojska wieża. Uznaje się ją za symbol miasta. Ulica Grodkojska zawiodła go do Altmarktu, czyli starego, zabytkowego rynku. Potem obejrzał jeszcze Wieżę Menniczą, w której w dawnych czasach bito miejscowe monety. Na jej dachu wiercił się wiatrowskaz z datą 1603 i herbem miasta – rakiem. Maciek pstryknął parę pamiątkowych zdjęć. W gospodzie pod mennicą wypił coca-colę. Wieża stała niedaleko rzeki Szprewy w pobliżu niedużej wysepki,

na której znajdował się Park Goethego. Chociebuż od dawna słynie z parków. Najciekawszy z nich to Park Branicki położony na wschodnim brzegu rzeki. Na jego zwiedzenie Maciek miał mało czasu, bo czekała go długa wędrówka na miejsce umówionego spotkania. Rzucił okiem na zamek Branitz, po serbsku Rogeńc, w którym mieściło się regionalne muzeum. Chwilę posiedział w cieniu na ławce. Obszedł wokół stawek z otoczoną wodą piramidą, w której pochowano fundatora parku, księcia Von Pücklera, podróżnika i autora książek podróżniczych. Maciek chętnie by pospacerował dłużej po malowniczych alejkach i zrobił więcej fotografii, lecz bał się spóźnić na wyznaczone spotkanie.

Zawrócił do Stadt Ringu, ulicy, którą dostał się w pobliże kolejowego dworca głównego. Stąd było już całkiem blisko do ulicy Greifenhainer.

Tu spotkała go drobna przygoda. Na skrzyżowaniu z boczną uliczką na skręcający w lewo mały samochód najechał całym rozpędem znacznie większy pojazd. Pisk opon i głucho uderzenie wyrwały Maćka z własnych myśli. Zatrzymał się i rzucił okiem na miejsce

wypadku. Z obydwóch aut wyskoczyli kierowcy i z wzajemnymi pretensjami obrzucili się gwałtownymi, głośnymi wymówkami. Wkrótce jeden z nich podbiegł do Maćka, szwargocąc coś nerwowo. Można się było domyślić, że chodzi mu o znalezienie świadka zdarzenia.

— I don't understand. I don't speak German — wybełkotał tylko Maciek, nie rozumiawszy ani jednego słowa ze skierowanej do niego tyrady.

Niemiec warknął jak zły pies i podreptał spieszenie do następnego gapia.

Tymczasem drugi kierowca spokojnie rozmawiał przez telefon komórkowy. Prawdopodobnie wzywał policję.

Maciek zbliżył się do miejsca kolizji. Przypatrzył się samochodom. Mały morris nadawał się do kasacji; nie było sposobu na przywrócenie mu sprawności. Wgnieciony próg i dach, rozbite drzwi, przekrzywione koło, cieknąca skądś benzyna. Na szczęście w środku nie było pasażera. Gdyby siedział obok kierowcy, byłby najpewniej w ciężkim stanie. Drugi wóz (nasz turysta nie potrafił rozpoznać marki) był w dużo lepszym stanie. Miał pogięty przód i rozbite światła po

jednej stronie. Może dlatego jego właściciel zachowywał się spokojniej.

Zjawił się policjant. Przyjechał na motocyklu, nie używając sygnału. Wiedział, że to zwykła stłuczka bez ofiar w ludziach. Zaczął od robienia zdjęć.

Belina uznał, że trzeba opuścić teren zdarzenia, aby uniknąć indagacji i żeby zdążyć na umówione spotkanie.

Powolutku zrejterował z feralnego skrzyżowania.

Już kwadrans przed piątą znalazł Krupniczy Młyn. W stylowym wnętrzu urządzono samoobsługową restaurację.

Michał Zaklicki siedział przy kwadratowym stoliku i robił jakieś zapiski w notesie. Na widok zbliżającego się Maćka zamknął notes i wsunął go do wewnętrznej kieszeni marynarki.

— Jak się udał spacer? — zapytał.

— Nieźle, biorąc pod uwagę, że czas był krótki.

— Pokazał na planie miasta trasę swojej wędrowki.

Przez pewien czas rozmawiali o pogodzie. Potem podziwiali urządzenie lokalu, w którym się znajdowali. Oczekiwanie się przedłużało. Raz po raz spoglądali na

drzwi, w których miała się ukazać pielęgniarka.

Nareszcie. Dziewczyna przekroczyła próg i zatrzymała się, rozglądając się po sali. Oczekujący na nią panowie podnieśli się z krzeseł jak na komendę.

Pani Anna nadal była w bieli. Nie w szpitalnym kitlu, lecz w białym golfie i równie białych spodniach, spod których wylaniały się białe czubki bucików na szpilkowych obcasach. Na głowie nosiła białą włóczkową przepaskę utrzymującą włosy tak, że odsłaniały jej uszy. Nie nosiła biżuterii.

Zajęła miejsce naprzeciwko Zaklickiego, tyłem do sali.

— Przepraszam. Trochę się spóźniłam.

— Co będziemy jedli? Co przynieść? — Maciek był gotów obsłużyć zebranych.

Jak to dobrze, że podjąłem gotówkę z bankomatu — zauważył w myślach. — Inaczej musiałbym teraz prosić Zaklickiego o pieniądze.

— Ja poproszę o kotlet wieprzowy z ziemniakami w mundurkach i jakąś surówkę — zamówił Zaklicki.

— Ja przed chwilą skończyłam jeść obiad — potrząsnęła przecząco głową Anna. — Wypiję małą

czarną.

— Dla mnie jeszcze piwo — dorzucił Zaklicki.

— Wedle życzeń. Ale proszę beze mnie nie zaczynać.

Musiał dwukrotnie chodzić tam i z powrotem z tacami. Dla siebie też wziął kotlet, ale bez zieleniny, i herbatę zamiast piwa.

— Teraz proszę opowiadać — zezwolił, zajmując ponownie swoje miejsce.

— Właśnie — ponaglił Zaklicki.

— Może zacznę od początku...

— To jest najlepszy sposób zaczynania — zażartował dziennikarz, ale Maciek zganił go wzrokiem.

— Trzy lata temu we dwie z koleżanką zdecydowałyśmy się wyjechać do pracy do Niemiec. Tu oferowano nam trzykrotnie wyższe pensje niż w Polsce.

— Przepraszam — przerwał jej Maciek — gdzie pani mieszkała w kraju?

— Pochodzę z Legnicy. I proszę do mnie mówić po imieniu. Ania — powiedziała Ania.

— W takim razie ja jestem Maciej albo Maciek,

jak kto woli. Byle nie Maciuś.

— Dobrze. Wracam do tematu. Początek był dla nas trudny. Nowe otoczenie, kłopoty z językiem, ciężka praca. Najpierw pracowałyśmy jako salowe, a nie pielęgniarki. Sprzątanie, mycie podłóg, wynoszenie kaczek i basenów... Na szczęście ordynator oddziału docenił naszą pracę (i urodę — pomyślał Maciek) i dostałyśmy odpowiednie zajęcie, opiekę nad pacjentami. Jesteśmy obie dyplomowanymi pielęgniarkami. Role salowych były dla nas poniżające.

Zaczerpnęła powietrza.

— Zarabiamy, co prawda, znacznie mniej niż niemieckie pielęgniarki o podobnych kwalifikacjach, ale i tak nie ma porównania z warunkami w Legnicy. Wspólnie wynajęłyśmy mieszkanie w bloku na Škodowie i zagospodarowałyśmy je całkiem wygodnie. Często jeździmy do Polski. Dwie godziny jazdy i jestem w domu.

Jakby się usprawiedliwiając, dodała:

— Chociebuż, mimo dwujęzycznych napisów, to całkiem niemieckie stutysięczne miasto. Na przedmieściach mieszkają Serbowie, ale w centrum

nawet oni muszą z konieczności używać języka niemieckiego. Poza kilkoma instytucjami i urzędami trudno tu znaleźć słowiańską atmosferę.

Przerwała, pociągnęła łyk kawy, spojrzała na swoje vis-à-vis.

— Teraz o panu Nowaku. Znalazł się na oddziale mniej więcej cztery miesiące temu, na początku roku. Chyba był znajomym ordynatora, bo ten bardzo się o niego troszczył. Chciał go osobiście operować, ale po otwarciu jamy brzusznej okazało się, że na wszystkich organach są przerzuty raka. Nowotwór znajdował się w ostatnim stadium. Zasztyto cięcie i po zagojeniu rany wypisano pana Adama do domu. Bez przerwy musiał brać środki przeciwbólowe. Nie było już dla niego ratunku.

— To straszne — westchnął Zaklicki.

— Onkologia to bardzo przykry oddział. Miejscowe pielęgniarki nie chcą na nim pracować. Miałam trudności, żeby się przyzwycząić. Szczególnie cierpienia dzieci poruszają do żywego.

Zamilkła. Sięgnęła po kawę, żeby zamaskować wzruszenie.

— Zaprzyjaźniłam się z panem Adamem — kontynuowała. — Był jedynym pacjentem, z jakim mogłam porozmawiać po polsku. Był pogodny, dowcipny i mało kłopotliwy. Niektórzy pacjenci potrafili zamećzać siostry, ciągle coś im przeszkadza, czegoś się domagają i narzekają. On był zupełnie inny. Dlatego nawet się ucieszyłam, gdy ordynator wezwał mnie i zapytał, czy chciałabym zostać oddelegowana do domowej opieki nad panem Nowakiem.. Zwykle tak się nie robi. Od tego jest przecież opieka społeczna. W tym wypadku było uzasadnienie, że Polce łatwiej będzie się porozumieć z pacjentem-Polakiem.

— Czemu Adam nie napisał do mnie, że ma raka? — zasepił się Zaklicki.

Ania przyjrzała mu się z uwagą.

— Źle się pan czuje? — zatroskała się.

— Nic mi nie jest. To tylko wzruszenie.

Zapadło milczenie. Maciek starannie mieszał herbatę.

— Może posprzątam ze stołu — wykrztusił wreszcie, przełamując nieznośną ciszę.

Pozbierał talerze na tacę i odniósł je. Na stole

pozostały tylko niedopite napoje.

Ania podjęła opowiadanie.

— Pan Adam mnie polubił. Stałam się dla niego prawie jedynym żywym kontaktem ze światem. Chyba nikt go nie odwiedzał, nawet nie telefonował, tak że zrezygnował z telefonu. Nie opłacało mu się trzymać bezużytecznej rzeczy. Za dnia czasem malował, wieczorami oglądał telewizję, albo ślęczał przy komputerze. Mimo swojego wieku lepiej się posługiwał komputerem niż ja. Korzystał z Internetu. Pewnego razu poprosił mnie, żebym mu pozowała. Namalował i podarował mi mój portret. To był ostatni jego obraz. Chciał jeszcze namalować mój akt, ale już nie zdążył.

— Szkoda — równocześnie westchnęli obaj mężczyźni.

Ania uśmiechnęła się, ale zbyła tę uwagę milczeniem.

— Obiecywał przekazać mi jakąś osobistą tajemnicę, ale też nie zdążył. A może się rozmyślił? Nie wiem, o co mu chodziło...

— A ja chyba wiem — wtrącił Zaklicki.

— Tak?

Dziewczyna spojrzała na niego pytająco, ale nie usłyszała wyjaśnienia tych słów. Ciągnęła dalej:

— Ostatni tydzień życia pan Adam spędził w klinice. Do końca liczył na pański przyjazd. O reszcie lepiej nie mówić... Zastanawiałam się, co było przyczyną tego, że prowadził samotne życie, ale nie śmiałam zadać mu tak osobistego pytania. Wydawał mi się człowiekiem bardzo łatwym we współżyciu i nie rozumiem, dlaczego nie żył z żoną.

— Nie miał żony — wyjaśnił Zaklicki. — Zawsze był kawalerem.

— Dziwne — szepnęła Ania. — Panowie, jak widzę, też nieżonaci. Jakiś klub kawalerów, czy co?

— Ależ skąd — zaproponował Maciek. — Żaden klub. Czysty przypadek. Z panem redaktorem Zaklickim poznaliśmy się całkiem niedawno, a pana Nowaka nie widziałem na oczy. Jestem nieżonaty, bo kobiety są jak telefony... albo zajęte, albo pomyłka, albo poza zasięgiem.

Zaklicki się uśmiechnął.

— Pani Aniu, pani też jest stanu wolnego. Mógłbym się równie dobrze zdziwić, dlaczego taka

świątlna kobieta jeszcze nie wyszła za mąż.

— Zamierzam to zrobić, ale najpierw muszę się dorobić własnego mieszkania. Spodziewam się, że to wkrótce nastąpi.

— Życzę pani tego. Czy mogę zadać kilka pytań?

— Jasne.

— Czy była pani w domu Adama po jego śmierci?

— Nie. Wszystkie moje i szpitalne rzeczy zabrałam zaraz po jego przeniesieniu do kliniki cztery czy pięć dni przed śmiercią. Nie miałam ani ochoty, ani potrzeby, żeby tam, to znaczy do domu, pójść. Po co?

— To nie wie pani, co się stało z obrazami i innymi rzeczami należącymi do Adama?

— Nie wiem. Wszystko pozostało chyba w domu.

— Tak myślę. Chciałem wczoraj tam zajrzeć, ale właściciel mnie nie wpuścił do środka. Oświadczył, że Adam zostawił po sobie liczne długi, więc on, znaczy właściciel, zarekwirował cały jego dobytek, żeby sobie zrekompensować poniesione straty. Co pani o tym sądzi?

— Nic nie wiem o żadnych jego długach. Pan Adam korzystał z bankowości internetowej.

Przygotował stałe zlecenia przelewów, więc czynsz i inne okresowe należności były opłacane regularnie z jego konta, na które otrzymywał emeryturę. Inne płatności też załatwiał przez Internet. Może akurat w ostatnim tygodniu przyszły rachunki, których już nie uregulował. Może za prąd?

— Czy Adam miał problemy finansowe?

— Wątpię. Dostawał niezłą emeryturę. Czasami dawał mi swoją kartę, żebym wyciągnęła z bankomatu pieniądze na zakupy. Z wydruków wynikało, że ma w banku spore oszczędności. Przepadną. Tylko krewni mogą się teraz o nie upomnieć.

— Co jeszcze wypijemy — wtrącił się Maciek, patrząc na opróżnione naczynia na stoliku. — Może jakiś deser?

Ania uśmiechnęła się do niego, pokazując równe, białe zęby. Wyprostowała się i obciągnęła sweter, uwypuklając swe wdzięki.

— Poproszę o szarlotkę i herbatkę z cytryną. Trzeba czymś zająć ręce.

— Dla mnie jeszcze małe piwo — dorzucił Zaklicki.

Maciek, pełniący obowiązki kelnera, pozbiierał statki i poszedł kupić zadysponowane potrawy. Dla siebie wybrał również szarlotkę oraz drugą herbatę.

Gdy wrócił do stolika, Ania rozważała, co się mogło stać z obrazami pozostałymi po Nowaku.

— Pamiętam kilka z nich. Wisiały na ścianach, stały w kącie i na sztalugach. Normalne powiedziałabym, realistyczne. Wiem, że w poprzednich latach pan Adam zanosił swoje dzieła do galerii sztuki. Na sprzedaż.

— Do jakiej galerii? — Maciek rozstawiał po stole przyniesione napoje.

— Tego nie wiem. Za moich czasów już nic nie sprzedawał i nie wystawiał. Chyba wspomniał raz o właścicielce tej galerii, ale nie pamiętam nazwiska. Być może właściciel domu też skorzystał teraz z usług tej pani. Łatwo można ją odnaleźć. W Chociebużu są tylko dwie większe galerie. Ale jeżeli obrazy powędrowałyby do byle jakiego lombardu, sprawa będzie o wiele trudniejsza. Chce pan odnaleźć te obrazy? — zwróciła się do Zaklickiego.

— Zależy mi tylko na jednym z nich. Boję się, że już nie uda mi się go zdobyć.

— Galerie handlujące dziełami sztuki znajdują się na Marxowej i Liebknechtowej. Spróbujcie najpierw tam. Jutro po południu mogę się włączyć do poszukiwań.

Maciek pomyślał, że trudno będzie wytłumaczyć dziewczynie, czego naprawdę szukają. Bez dopuszczenia do tajemnicy nie da się skorzystać z jej dobrych chęci. Zaklicki zastanawiał się widocznie nad tym samym, bo zmienił temat rozmowy.

— Czy pani pamięta obrazy, które pani widziała u Adama?

Ania zmarszczyła brwi, wyęzając pamięć.

— Niektóre zapamiętałam, ale nie jestem w stanie ich dokładnie opisać. Pan Nowak malował ludzi w rozmaitych sytuacjach. Żadnych kwiatów czy martwych natur. Jakiego obrazu pan poszukuje? Może sobie uzmysłowię, czy go widziałam.

— Widzi pani... to... — Zaklicki nie wiedział, co odpowiedzieć.

Udał, że się zakrztusił.

Przyszedł mu w sukurs Maciek.

— Nie widzieliśmy go nigdy. Znamy go tylko z listu

jego autora. Jakaś scenka kawiarniana czy coś w tym rodzaju.

— Było coś takiego. Jestem pewna.

— No to jutro go dopadniemy.

— Pewnie. Obraz to nie szpilka, nie przypadnie bez śladu. Nabrałam chęci, żeby się zabawić w poszukiwaczkę, ale odnoszę wrażenie, że nie mówicie mi wszystkiego. W tym się kryje jakaś tajemnica. Prawda?

Teraz obaj mężczyźni poczuli zakłopotanie. Pierwszy wybrnął z tego stanu Zaklicki.

— Jest pani domyślną osobką. Rzeczywiście tkwi w tej sprawie pewien sekret. Jest to dla mnie obraz dosyć szczególny, ważny. Obiecuję, że we właściwym czasie wyjaśnię pani, w czym rzecz.

Ania była wyraźnie zadowolona.

— Poproszę Teresę, żeby mnie jutro zastąpiła w pracy. Tereska to moja współlokatorka — wyjaśniła.

— Jutro od rana przyłączam się do detektywistycznej roboty. Przyda się wam kobieta dobrze obeznana z terenem i tutejszymi ludźmi.

Po tych słowach nagle jej entuzjazm zgasł.

— Ale co będzie, jeśli Teresa się nie zgodzi?

Zastanowiła się i dodała:

— Zatelefonuję do panów, czy będę jutro wolna.

Mogę dostać numer komórki?

Zaklicki spojrzał na Belinę, Belina na Zaklickiego.

— Nie mamy komórek.

— Nie mamy.

Dziewczyna rzuciła Maćkowi spojrzenie pełne politowania.

— Zadzwoń do hotelu. Gdzie mieszkacie?

— Dorotheenhof na Sirotowej.

— Nie znam, ale się dowiem. O której mogę zadzwonić?

— Wracamy stąd prosto do hotelu i nie zamierzamy dziś nigdzie wychodzić. Możemy panią odwiedzić do domu.

— Dziękuję, ale mam tu swój wóz. Kupiłam używaną škodę felicję. Tutaj stare samochody są bardzo tanie.

Maciek modlił się w duchu, żeby Ania nie zapytała go, jakim autem on jeździ. Na szczęście dziewczyna nie zadawała więcej pytań i rozpoczęła ceremonię

pożegnania.

Odprowadzili ją do samochodu.

Był biały.

* * *

Odkryli, że za hotelem stoją stoliki pod parasolami – kawiarnia na świeżym powietrzu. Ulokowali się na niewygodnych stołkach pod parasolem z reklamą radebergera. Zaklicki dał się skusić na kolejne piwo. Zaproponował napój Maćkowi, ale ten odmówił:

— Jestem piwnym patriotą — zazartował. — Piję tylko żywiec... — Tu nieco minął się z prawdą. — ...i do tego w cienkim szkle, a tutaj mają takie ohydne, grubaśne, ciężkie kufle.

— To może coś na ząb — namawiał Zaklicki.

— Jedzenie zabija myślenie.

— Znam, znam skądś to powiedzenie.

— Nie zgłaszam pretensji do jego autorstwa, nawet wiem, skąd je zaczerpnąłem. Ze starej, przedwojennej książki Marka Romańskiego Grobowiec Ozyrysa.

— Otóż to! Czytuje pan takie „prehistoryczne” powieści?

— Zdarza się. Porzućmy jednak tematy literackie. Mamy problem do obgadania.

— Ma pan na myśli pannę Malinowską?

— Albo umie pan czytać w myślach, albo gryzie pana ten sam robak — roześmiał się Maciek.

— Tak, tak. Co mamy z nią zrobić? Dopuszczać do spisku, czy nie? Sama się wprosiła z pomocą, a przecież nic o niej nie wiemy oprócz tego, co nam powiedziała. Czy można jej ufać? — Zaklicki mnożył pytania.

— Święty Augustyn przestrzegał przed kobietami..

— Czytał pan także świętego Augustyna? — Tym razem w pytaniu dziennikarza brzmiało poważne zdziwienie.

— Nie. Nie będę się zgrywał na aż tak wielkiego erudyte. Tę wiedzę posiadałem z drugiej ręki. Ale darujmy sobie na razie żarty, bo lada chwila Ania może zadzwonić i musimy albo zaakceptować jej udział w naszych dalszych działaniach, albo stanowczo jej odmówić, co wyda jej się podejrzane i jeszcze bardziej

intrygujące.

— Dziewczyna wygląda na poważną i bystrą. Może się przydać. Z drugiej strony ryzykujemy, że nas zdradzi.

— Jaką korzyść by z tego odniosła?

— Kobiety czasem działają nielogicznie, wbrew własnym korzyściom. Kto wie, co jej strzeli do głowy?

— Zaklicki nie dokończył zdania, bo od drzwi dobiegł głos:

— Herr Belina, Telefon. Herr Be-li-na zum Telefon.

Maciek zerwał się na równe nogi.

— Co mam jej powiedzieć? Szybko!

— Nie wiem.. A mów pan, co chcesz. Kto może przewidzieć, co z tego wyniknie?

Zaklicki jednym haustem wypił pół kufła piwa, a Belina pobiegł do telefonu.

Wrócił z lekkim uśmiezkiem na twarzy.

— No i co? — Zaklicki domagał się odpowiedzi, zanim Maciek usiadł pod parasolem.

— Ta laska załatwiła nas na cacy...

Nie czekając na dalszy ciąg zdania, Zaklicki rzucił:

— Niech pan będzie uprzejmy wyrażać się w sposób zrozumiały nie tylko dla młokosów.

— Oznajmiła mi, że mamy być gotowi jutro o dziewiątej. Przyjedzie po nas. Koniec, kropka. Przejęła dowództwo.

— Tak bywa z ładnymi kobietami. Będzie się szarogęsić, dopóki ktoś nie przytnie jej pazurków.

Maciek pokiwał głową. Zamilkli. Zaklicki sącył piwo i z wielkim zainteresowaniem obserwował muchę biegającą po blacie. Potem przyglądał się z uwagą tarczy swojego zegarka.

Wybuch gromkiego śmiechu przy sąsiednim stoliku przywrócił ich do życia. Dziennikarz podniósł głowę, popatrzył z zadowoleniem na Maćka i odezwał się:

— Wiem. Wpadł pan w oko tej dziewczynie i chce się panu przypodobać. Nie ma złych intencji. Dopiero co nas poznała. Nawet nie przypuszcza, o co nam chodzi. Niech pokaże, co potrafi... Jak się pan na to zapatruje?

Maciek cieszył się na spotkanie z czarującą dziewczyną. Nie zdradził jednak swych myśli.

— Na co?

— Na wyłożenie naszych kart na stół. Na dopuszczenie jej do konspiracji.

Maciek się skrzywił.

— Na to zawsze jest czas. Zobaczymy jutro, jak się sytuacja rozwinie.

Zaklicki zrozumiał to jako wyraz braku zaufania do świeżo poznanej dziewczyny.

— Podejrzewa pan, że może nam zaszkodzić?

— W życiu, tak jak podczas prowadzenia samochodu, obowiązuje zasada ograniczonego zaufania. Nie mam powodu, by dziewczynę podejrzewać o złe zamiary, ale co będzie, jak ona przejrzy naszą grę i uzna ją za przestępczą?

— Będzie, co Bóg da — filozoficznie zamknął dyskusję Zaklicki, dopijając resztę radebergera. — Nie wymyślimy teraz nic mądrego.

Gdybym tu przyjechał wcześniej... — nie dokończył.

Klamka zapadła — myślał Maciek. — Nic strasznego. Dziewczyna nie wie, o co nam chodzi. Chce być pożyteczna, chce nam pomóc. A może rzeczywiście wpadłem jej w oko, jak mówił Zaklicki. E,

nie. Co ja sobie wyobrażam? Ślicznotka ma tylu adoratorów, że na takich jak ja w ogóle nie zwraca uwagi. Zobaczymy jutro. Mówią, że ranek jest mądrzejszy od wieczora.

Przypomniał sobie cygańską wróżbę. Wszystko się zgadzało...

Jest brunetka, są kłopoty. Zgodnie z przepowiednią należy teraz oczekiwać, że skądś nadejdzie pomoc... Tfu! Wierzy w cygańskie brednie?

Rozdział VI

MALINA CZY CZARNA PERŁA?

Ania zjawiała się punktualnie, niemal z zegarmistrzowską precyzją. Podjechała swoim białym samochodem przed hotel. Wysiadła i w podskokach podbiegła do czekających na nią na chodniku mężczyzn. Miała na sobie białą, koszulową bluzkę, białą spódniczkę, na tyle krótką, by pozwoliła ocenić jej zgrabne nogi w białych adidasach. Na włosach miała tę samą przepaskę, co poprzedniego dnia.

Gdy tak biegła przez jezdnię i wymachiwała białą torebką, wyglądała niczym tenisistka z rakieta na korcie.

— Dzień dobry. Witam panów.

— Dzień dobry.

— Oby był udany.

Podala rękę panu Zaklickiemu, który ucałował ją z galanterią. To samo zrobił po chwili Maciek.

— Zapraszam do mojego skromnego samochodu

— zaszczebiotała dziewczyna. — Łatwiej mi będzie was wozić niż pilotować kierowcę. Jedziemy do Środka.

— Do środka czego? — zaciekawił się Maciek.

— Do środka miasta. Tu śródmieście nazywane jest po prostu Środkiem, po niemiecku Mitte, po serbsku Srjež.

— Aha. — Maciek był zły na siebie. Miał przecież plan Chociebuża i widział na nim te nazwy. Zawiodła go pamięć czy zdolność kojarzenia faktów?

Wsiedli. Zaklicki zajął miejsce obok kierowcy, a właściwie: kie-rowniczki. Maciek usiadł za nim. Z tego miejsca mógł oglądać piękny profil dziewczyny.

Ania prowadziła sprawnie, wręcz doskonale. Zresztą trasa była prosta i wygodna. Kolejny raz przemierzali Liebknechtową drogę.

Dziesięć minut jazdy i Ania skręciła w lewo. Zatrzymała samochód na chodniku.

— Galeria Kaufhof — oświadczyła i w okamgnieniu wyskoczyła z wozu. — Przed zatrzaśnięciem drzwi proszę wciskać te kołeczki — pokazała im. — Nie ma zamka centralnego.

Podreptali za nią.

W galerii Ania zwróciła się do starszej kobiety, która wyszła im naprzeciw. Zapytała o coś, czego Maciek – oczywiście – nie zrozumiał. Kobieta podeszła do komputera i postukała w klawiaturę.

Odpowiedź na pytanie była negatywna. To widać było z gestu, jaki zrobiła po obejrzeniu ekranu. Ania odwróciła się do swoich współtowarzyszy.

— Niestety, nie mamy tu czego szukać. Pani twierdzi, że nie ma i nigdy nie miała obrazów Adama Nowaka. Czy chcecie, panowie, obejrzeć galerię, jak już tu jesteśmy?

Obaj panowie potrząsnęli przecząco głowami.

— Nie mamy na to czasu — usprawiedliwił się Zaklicki.

— Wobec tego jedziemy dalej — zarządziła bez zwłoki czarna, a zarazem biała, piękność.

Następny przystanek zrobili przy Spree Galerie. Tutaj rudowłosa dama, prawdopodobnie właścicielka i szefowa w jednej osobie, nie musiała zasiadać do komputera, by udzielić negatywnej odpowiedzi.

Pamiętała Nowaka. W przeszłości udało jej się

sprzedać kilka jego prac. Okazała zmartwienie na wieść o jego śmierci. Ania i Zaklicki ucięli sobie z nią długą pogawędkę. Maciek dopiero później został krótko poinformowany o jej przebiegu.

Rozmowa z rudą niewiastą nie przyniosła rewelacji. W odpowiedzi na pytanie, czy zgłosił się do niej niejaki Schwerdtfeger, stanowczo się zarzekła, że nie zna takiego człowieka. Nie umiała też, a może nie chciała, podsunąć im żadnego pomysłu, gdzie w Chociebużu można jeszcze szukać obrazów Nowaka.

Wrócili do samochodu i streściwszy Maćkowi, o czym była mowa, zaczęli się zastanawiać nad dalszym postępowaniem.

— Można się było tego spodziewać — biadolili Zaklicki. — Przecież, praktycznie rzecz biorąc, Schwerdtfeger najzwyczajniej ukradł płótna Adama po jego śmierci. Czy mógł się z nimi zgłosić do renomowanej galerii, żeby je sprzedać? Wolał uniknąć pytań o pochodzenie obrazów. Albo dał je do małej podrzędnej galeryjki, gdzie nie zadają żadnych pytań, albo trzyma je jeszcze w domu.

Zastanowił się przez chwilę.

— Wyglądał na tępego i chciwego, i raczej nieuczciwego. Przekazał je paserowi. Tak sędzę.

— Dodam — podjął Maciek — że jeżeli tego nie zrobił wcześniej, to po pańskiej wczorajszej wizycie na pewno szybko pozbył się z domu trefnych przedmiotów. Mogliśmy pójść na policję ze skargą na niego. Pewnie się tego jeszcze ciągle obawia.

— Racja — zgodziła się z nim Ania. — Na złodzieju czapka gore. Skradziony „towar” oszuści przekazują „na melinę” albo do pasera.

— Trzeba szukać po antykwariatach, komisach, sklepach ze starzyzną, lombardach i tym podobnych miejscach.

— Łatwo powiedzieć, trudniej wykonać. Takich sklepików jest bez liku. Jak trafić na ten jeden właściwy? — W głosie Ani zabrzmiało z wątpienie. — Potrzebujemy dodatkowej informacji, tropu, który nas doprowadzi do celu. Mam jednak wątpliwości, czy nie szkoda zachodu dla paru amatorskich obrazków.

Zaklicki się zachnął.

— Nie wie pani, co pani mówi. Nie chodzi mi o...
— wyrwało mu się.

Dziewczyna spojrzała na niego zdumiona, a może nawet urażona.

— Bardzo panią przepraszam — zmitygował się natychmiast. Po chwili dodał — Tak. Musimy pani coś powiedzieć. Prawda, panie Maćku?

W tej sytuacji Maciek zgodził się bez wahania:

— Decyzja należy do pana, ale teraz chyba nie mamy innego wyjścia.

— Co tu jest grane? — zaniepokoiła się Ania.

— Już pani wyjaśniam, o co chodzi — uspakajał ją dziennikarz i zaczął opowiadać o odnalezionym arcydziele Kotsisa, o przedśmiertnym liście, jaki wysłał do niego Adam Nowak i o tajemniczej Cafe Bagdad. Pokazał list. Wychwalał przy tym pod niebiosa Maćka, nadmieniając o wcześniejszych Maćkowych sukcesach w rozwiązywaniu podobnych zagadek. Maciek nie odzywał się ani słowem dopóty, dopóki starszy pan nie wyjawiał planu przemycenia Kotsisa do Polski.

— Nie chcieliśmy cię, Aniu, wplątywać w aferę pachnącą kryminałem — dorzucił na koniec Maciek. — Dlatego nie wtajemniczyliśmy cię w nasze zamiary.

— Maciek — Ania pierwszy raz zwróciła się do

niego po imieniu. — Maćku — poprawiła się — nie rób się taki troskliwy. Jestem dorosła i odpowiadam za swoje czyny. Gdybyście mi to uczciwie powiedzieli na początku, mogłam w to wejść albo nie. Mogłabym świadomie wybrać. A teraz, kiedy już się zaangażowałam, znacznie trudniej jest mi się wycofać. Przez nieświadomość ugrzęzłam w tym na dobre.

— Ależ — zaprotestował Maciek — możesz w tej chwili wyrzucić nas z samochodu i zakończyć sprawę. Dodam jeszcze szczerze, że nie wiedzieliśmy, czy można ci zaufać. Poznaliśmy się dopiero wczoraj. Prawie nic o tobie nie wiemy.

— To już przechodzi ludzkie pojęcie — wściekła się Ania. — Od początku wam pomagam, jak mogę. Nie widać tego? Jestem podejrzana? No wiecie, spotkałam rodaków na obczyźnie i zostałam przez nich posądzona o nielojalność, donosicielstwo, czy co?

— Niech się pani nie denerwuje — próbował załagodzić konflikt Zaklicki. — Proszę się postawić w naszej sytuacji. Czy wtajemniczyłaby pani każdego świeżo napotkanego Polaka w podobną aferę? Nie wszyscy Polacy są idealni. Są Polacy i polaczki przez

małe p.

— Jeszcze dorzucę jeden powód — usprawiedliwiał się Maciek. — Pan Nowak też nie obdarzył cię pełnym zaufaniem. Widać to z jego listu. Przeczytaj uważnie.

Wzięła list od Zaklickiego i po chwili go zwróciła. W jej ciemnobrazowych oczach zaślniły łzy.

— Dlaczego nikt nie ma do mnie zaufania. Czy ja wyglądam na agentkę tajnej policji?

— Prawie utrafiłaś w sedno — osądził Maciek. — Jesteś zbyt ładna. Tak piękne kobiety angażuje się na szpiegów, bo ich uroda pomaga wyciągać informacje od mężczyzn. Z nas już wszystko wydobyłaś — zaśmiał się.

— Nie wysilaj się na komplementy — ucięła Ania, ale widoczne było, że wzmianka o jej urodzie odrobinę poprawiła jej nastrój.

— Gdyby ludzi można było oceniać po wyglądzie — tłumaczył dalej Maciek — wszyscy mordercy, złodzieje i inni złoczyńcy byłiby zamykani w więzieniach, jak tylko pokazaliby się na ulicy. Gdyby piękny wygląd oznaczał piękny charakter, życie byłoby łatwe i bez

niespodzianek.

Zaklicki postanowił zakończyć jałową gadaninę.

— Przepraszamy panią i dziękujemy za wszystko. Chcieliśmy jak najlepiej, ale się nie udało. — Wyciągnął do niej rękę w pożegnalnym geście.

W dziewczynę wstąpiła furia.

— Przepraszamy? Dziękujemy? Już pani nie potrzebujemy? Coraz lepiej. Posłuchajcie, dżentelmeni, co wam powiem. Nie ze mną takie numery! Najpierw mnie podnieciliście, a teraz mówicie: idź precz! O, nie! Zostaję z wami, żeby wam pokazać, jaka jestem; Polka przez małe czy duże p.

Odwróciła głowę w stronę siedzącego na tylnym siedzeniu Maćka. Zaróżowione policzki dodałyby jej pewnie urody, gdyby nie zły, zacięty wyraz twarzy.

— Ty, genialny szyfrologu i poszukiwaczu skarbów, przekonasz się jeszcze, co ja potrafię. Siedzisz tu teraz bezradny. Nie znasz języka, nie znasz miasta, nie widziałeś na oczy tego, czego szukasz, i masz nadzieję na kolejny sukces? Beze mnie mógłbyś się tylko modlić o cud. Teraz moja kolej...

Pogrzebała w torebce i wyjęła telefon komórkowy.

— Proszę mi podać numer Schwerdtfegra —
prychnęła.

Zaklicki zdziwiony wyciągnął karteczkę z numerem.

— Po co... — zaczął.

— Proszę o ciszę — fuknęła dziewczyna.

Wybrała numer, nacisnęła klawisz z zieloną słuchawką i w chwilę potem zaczęła rozmowę po niemiecku.

Maciek siedział jak na tureckim kazaniu. Zaklicki za to strzygł uszami i w miarę postępu rozmowy twarz mu się rozjaśniała. Gdy Ania zakończyła konwersację, wykrzyknął:

— Maciek! — Z emocji odniósł się do niego nie oficjalnie lecz po imieniu — Wiesz, co ona zrobiła? Poprosiła jakiegoś profesora...

— Nie „jakiegoś”, tylko profesora Sprangera, ordynatora mojego szpitalnego oddziału — bezceremonialnie włączyła się Ania.

— ...Poprosiła ordynatora, żeby zatelefonował do Schwerdtfegra z zapytaniem, czy nie wie, gdzie może kupić obraz swojego zmarłego pacjenta a zarazem dobrego znajomego. Prosiła, żeby się przedstawił jako

profesor i ordynator oddziału onkologii i żeby powiedział, że chce mieć pamiątkę po Adamie, a wie, że on sprzedawał swoje prace. Opowiedziała mu, że Schwerdtfeger zarekwirował rzeczy Adama i prawdopodobnie wystawił je gdzieś na sprzedaż, a ona pragnie zdobyć jeden z obrazów, że lepiej będzie, jak poważny człowiek naciśnie Schwerdtfegera, a nie skromna cudzoziemka. Mam nadzieję, że ordynator się zgodził tak zrobić? — zwrócił się do dziewczyny.

Ania bez słowa skinęła głową. Trzymała komórkę w dłoni. Widoczne było, że czeka na wiadomość.

Czekali wszyscy troje.

Telefon milczał.

Oni też.

Maciek zastanawiał się w myślach, ile czasu wymaga telefoniczna rozmowa z oszustem i czy jego chciwość przeważy nad ostrożnością. Jeżeli tak, to z pewnością nie tylko zdradzi lokalizację sklepu pośrednika, ale pewnie zaraz do niego zatelefonuje, że kieruje do niego bogatego klienta, niech podbije ceny. Ale... — naszała go wątpliwość — co robi Schwerdtfeger, jeśli nie oddał obrazów w komis, lecz

sprzedał je paserowi, inkasując od razu gotówkę? Chyba nie — pocieszył się. — Malowidła malarza amatora nie są towarem, który handlarze sztuki kupują hurtem. Nie mają gwarancji, że uda się je sprzedać.

Z rozmyślań wyrwał go dźwięk swingowej melodyjki. To hałasowała komórka.

— Hallo — zgłosiła się Ania, po czym tylko kiwała od czasu do czasu głową, jakby zgadzając się z rozmówcą.

Zakończyła, rozptylając się w podziękowaniach. Nawet Maciek pojął znaczenie jej końcowych słów.

— Udało się — obwieściła tryumfalnie, odkładając telefon. — Profesor to równy gość.

Mężczyźni w napięciu patrzyli na nią, czekając na dalsze wyjaśnienia, ale Ania rzuciła tylko:

— Ostrower Strasse.

Wyciągnęła ze schowka plan miasta i rozłożyła go na kierownicy.

Przeszukała skorowidz ulic. Odwróciła plan na drugą stronę.

Odnalazła właściwy kwadrat. Powoli, z namaszczeniem poskładała plan i wsunęła go do

kieszeni na drzwiach.

— Jedziemy.

Bez trudu trafiła na żadaną ulicę. Znalazła się jednak przy jej złym końcu. Ostrower Strasse była jednokierunkowa i trzeba było się dostać na nią okrężną trasą. Spróbowała inaczej i wjechała mniej więcej w połowie długości ulicy. Jadąc powoli i rozglądając się na obie strony, wyszukała wolne miejsce do zaparkowania.

— Nie znam numeru domu. Musimy się rozejrzeć.

Ulica wiała się na kształt bardzo wydłużonej litery S. Przeszli wolno w jedną stronę aż do końca, nie znajdując poszukiwanego sklepu. Zawrócili do samochodu i podążali dalej, badając uważnie wszystkie napisy.

Zaklicki pierwszy dostrzegł szyld:

Horst Dimde
ANTIKEN

— Chodźmy. To tam!

Ania zaprotestowała:

— Panowie wracają do wozu. Ja wejdę do sklepu i podając się za asystentkę profesora, zbadam sytuację.

Musieli przyznać, że to dobry pomysł. Dziewczyna wręczyła im kluczyki i swobodnym krokiem podeszła do wystawy sklepowej. Otworzyła torebkę i demonstracyjnie wyjęła z niej czarny notesik. Przekartkowała go, rzuciła okiem na numer budynku, schowała notes i weszła do wnętrza.

Zaklicki i Belina solidnie się wynudzili, czekając na jej powrót.

Minęło piętnaście minut, pół godziny, trzy kwadranse.

Wreszcie się pojawiła, idąc lekkim, swobodnym krokiem i machając nonszalancko białą torebką.

Zasiadła na swoim miejscu za kierownicą i zaczęła relacjonować podjęte działania.

— Spodziewałam się gorszego lokalu. Rozczarowałam się na plus. Asortyment towarów też niezły. Obrazów na ścianach dziesięć. Policzyłam. W tym połowa wyszła spod pędzla pana Nowaka. Gdy zaczęłam im się przyglądać, podszedł do mnie niski, łysawy jegomość, pewnie sam Horst Dimde, pytając,

czego szukam. Wyjaśniłam, że przysłał mnie profesor Spranger, mój zwierzchnik, po obraz Adama Nowaka, że to był jego kolega i pacjent, i że niedawno zmarł. Mój szef chce mieć jego malunek na pamiątkę. Dowiedział się, że tu może go kupić. Tak go poinformował pan Schwerdtfeger. Moim zadaniem jest obejrzyć obrazy, zapytać się o ich ceny i przekazać mu informacje. Ja się znam na malarstwie, więc ode mnie będzie w dużej mierze zależało, czy i co mój pracodawca kupi.

— Sprytnie — pochwalił Zaklicki.

Maciek pomyślał z podziwem: dziewczę na głowę na karku.

— Ten typ próbował zachwalać swój towar — kontynuowała Ania — ale jeszcze raz powiedziałam mu, że ma do czynienia ze znawczynią. Narysowałam w notesie szkice obrazów. Byłam jedyną klientką w sklepie. Poprosiłam sprzedawcę, a zapewne i właściciela w jednej osobie, o dokładne zmierzenie płócien. Mam tu wszystko zapisane. — Klepnęła dłonią torebkę.

Maciek już miał na końcu języka pytania, czy

malowidła były opatrzone tytułami, czy było między nimi Cafe Bagdad. Nie zdążył ich jednak zadać, bo Ania zaraz podjęła przerwana na chwilę opowieść.

— Zanotowałam ceny. Potem obejrzałam niektóre inne eksponaty, ceramikę i platery. Skrytykowałam ceny, chociaż nie wydały mi się wygórowane. Na odchodnym zapytałam, czy jutro sklep będzie otwarty. Jutro jest sobota. Będzie otwarte od dziesiątej do trzeciej po południu. Obiecałam, że jeszcze dzisiaj, a najpóźniej jutro, przyjadę do niego razem z szefem. Uznałam, że pan — skierowała te słowa w stronę Zaklickiego — może udawać mojego profesora.

— A jeśli sklepikarz go zna? — Dziennikarz miał obawy co do trafności jej pomysłu. — Moja Niemczyzna też mnie zdradzi.

— Racja. Pójdę sama — łatwo zgodziła się dziewczyna.

Zapięła pas i zapaliła silnik.

— Chce mi się pić. Trzeba też pomyśleć o obiedzie. Dzisiaj panie proszą panów.

Zaklicki próbował oponować, ale dziewczyna zamknęła dyskusję jednym zdaniem.

— Obiad będzie skromny, za to kolacja, którą postawią panowie, może być wystawna.

* * *

Siedzieli we troje na tarasie restauracji Brandenburger Hof.

Pogoda była przepiękna. Słońce przypiekało tak mocno, że trzeba się było chronić w cieniu. Wydawało się, że nastąpiło już lato, choć dopiero był maj. Maciek zabrał się za fotografowanie Zaklickiego i Ani. Właściwie należałoby powiedzieć: Ani i Zaklickiego, bo głównym obiektem zainteresowania była ona. Oprócz naszej trójki na tarasie znajdowało się jeszcze kilka osób chłodzących się zimnymi napojami. Zaklicki zaraz na wstępie zażądał dla siebie piwa.

Rozmawiając na banalne tematy, czekali aż kelner przyniesie wszystkie zamówione potrawy. Po jego odejściu rozpoczęli „obradę”, który z pięciu dostępnych obrazów jest tym właściwym.

Ania wyjęła z torebki notes i, między jednym a drugim kęsem wkładanym do ust, objaśniała

poczynione w nim zapiski.

— Mówiłam już: jest ich pięć. Tych obrazów. Zacznę od najmniejszego. Nosi tytuł: Sjesta. Tytuły będę podawała w tłumaczeniu na polski. W sklepie napisy są wyłącznie niemieckie, ale przypuszczam, że i autor, żyjąc i tworząc tutaj, nie nadawał swoim dziełom polskich tytułów, lecz niemieckie.

— Rozumie się — wymamrotał Zaklicki z ustami pełnymi jedzenia.

— Nie wiem, jak sklepikarz ustalił ten tytuł, bo na widocznej stronie malowidła nie ma żadnego napisu. Pewnie jest na odwrocie, albo ten handlarz sam go wymyślił. Na obrazku jest przedstawiony fragment drewnianego domku z przyległym ogródkiem. Na ławce zdrzemnął się staruszek. Podpiera głowę ręką, z łokciem na oparciu ławki.

— Nie zagładałaś na drugą stronę płócien? Tam mogą być cenne dla nas wskazówki — wymądrzył się Maciek.

Czarnowłosa dziewczyna skrzywiła się wymownie.

— Miałam je ściągać ze ścian? Facet zaraz by nabrał podejrzeń. I tak był wystarczająco zaskoczony

moimi oględzinami; może nawet zaniepokojony.

Zajrzała do notatek.

— Aha, wymiary: 52 na 36 centymetrów. Ustawienie pejzażowe, czyli poziome, jak kto woli. Bardzo miła, słoneczna scenka.

Znowu zagłębła do notesu. Nikt nie zadawał pytań.

— Następne trzy obrazy miały takie same wymiary, 60 na 42. Jeden był zatytułowany Elegantki i przedstawiał dwie ładne i pięknie ubrane kobiety przy stoliku. Zgięta w ukłonie kelnerka z tacą na dłoni ustawiała przed nimi filiżanki. Na widocznym fragmencie jej fartuszek przeczytałam.. — podniosła głos — uwaga!... małe napis Cafe Ba...

Przyjrzała się, jakie wrażenie wywołały jej słowa. Złożyło się niefortunnie dla niej, bo Zaklicki zmagął się właśnie z twardym kawałkiem mięsa na talerzu, a Maciek specjalnie przekornie (choć z największym trudem) udawał niewzruszonego.

— Następne były Zaloty. To znaczy taki, mniej więcej, był tytuł. W ciemnym kącie kawiarnianym tuląca się do siebie bardzo młoda para...

— Po czym poznałaś, że to kawiarnia? — Maciek wyraźnie szukał zaczepki.

Dziewczyna spojrzała na niego z wyższością.

— Kobieca intuicja — zachichotała kpiąco. — Na stoliku przed nimi leżały naczynia i przedmioty, jakich zwykle używa się w kawiarni. Mam je wymienić?

Riposta była bolesna. Maciek przyznał w duchu, że czarna była nie tylko ładna ale i błyskotliwa. Jak dotąd widział w niej same zalety i tylko jedną wadę: nie lubiła go. Z jego punktu widzenia ta jedna usterka przekreślała wszystkie pozytywy.

Ania, zadowolona z siebie, opisywała następne malowidło.

— Plotkarki przedstawiały ogródek letni przy kawiarni. Przy stoliku na przednim planie dwie młode panienki nadstawiały uszu ku trzeciej, która opowiadała im coś wesołego.

Maciek znowu nie wytrzymał.

— Rozumiem, jak można ustalić, że to ogródek kawiarniany i że mowa była o czymś wesołym, ale po czym rozpoznałaś, że to były panienki? Czy to znowu twoja kobieca intuicja?

Panna Ania nie straciła rezonu.

— Gdyby to były mężatki, nie byłyby takie wesołe.

Zaklicki wybuchnął śmiechem, co dało Maćkowi chwilę do namysłu nad odpowiedzią.

— Widzę, że nasza koleżanka nie znosi całego rodu męskiego, a ja myślałem, że nienawidzi tylko mnie.

— Wyciągasz pochopne wnioski, detektywie — brzmiała odpowiedź. — Uważaj, żebyś się nie pomylił. Absolutnie nie rozumiesz kobiet.

— Któż je zrozumie? — westchnął Zaklicki.

— Jestem w mniejszości — skrzywiła się kobieta. — Dwóch machos na mnie jedną? Ja się tak nie bawię.

— Właśnie. Dość zabawy, drogie dzieci. — Dziennikarz przybrał poważny ton. — Mamy ciągle problem do rozwikłania.

Maciek nieproszony zabrał głos:

— Muszę się jeszcze podzielić z wami pewną uwagą na temat trzech pańienek. Znam stare francuskie przysłowie: Co wiedzą trzy kobiety, wiedzą wszyscy. Idealnie pasuje do tytułu. Trzy kobiety kojarzą się z plotkarkami.

Słuchacze zupełnie zignorowali jego wypowiedź.

— Na czym to ja skończyłam? — zastanawiała się Ania. — Został już ostatni obraz.. Ach, nie. Nie skończyłam z poprzednim. Zapomniałam o najważniejszym. Ogródek znajduje się przed drewnianym pawilonem, nad którego drzwiami znajduje się szyld, napis, czy... jak to się nazywa?

— Cafe Bagdad? — Maćkowi zabrakło cierpliwości.

— Podziwiam twoją domyślność, Sherlocku Holmesie. Straszny z ciebie bystrzak — sardonicznie uśmiechnęła się dziewczyna. — Namalowane na przednim planie drzewa zasłaniają częściowo ten napis, ale można dostrzec wyraz afe. Z drugiego słowa czytelna jest tylko litera g...

— Widać światło w tunelu. — Maciek był zanadto podniecony, żeby pozwolić Ani dokończyć sprawozdanie.

— Dla porządku opowiem jeszcze o ostatnim obrazie. Ten jest zatytułowany W parku i rzeczywiście przedstawia alejkę parkową i ludzi spacerujących lub odpoczywających na ławeczkach. W głębi widać wodę... stawek lub sadzawkę. Tylko ten obraz został

skomponowany w pionie i ma wielkość 84 na 60 centymetrów. Całkiem spory... I nastrojowy — dodała, zamykając notesik.

— Świetnie się pani spisała — pochwalili zwiadowczynię Zaklicki. — Ja jednak wciąż nie mam pewności, który obraz z tych pięciu kryje w sobie skarb, za którym gonimy. Najpewniejszym rozwiązaniem byłoby kupno wszystkich tych płócien, ale to też nie gwarantuje, że Kotsis na pewno jest pod którymś z nich. Może Schwerdtfeger zachował u siebie w domu jeszcze jedno.

— To wykluczam — sprzeciwił się młodzian nazwany przed chwilą Sherlockiem Holmesem. — Zostało mu w domu jeszcze wiele rzeczy Nowaka, na przykład komputer, telewizor i.. Ania wie lepiej, co posiadał świętej pamięci Adam Nowak.

— Dobrze. Niech w grę wchodzi tylko te pięć obrazów. Jeżeli nawet odrzucimy dwa, które trudno skojarzyć z kawiarnią. Wydatek będzie nadal olbrzymi. Czy pytała pani o ceny? — zwrócił się do dziewczyny.

— Jasne — obruszyła się. — Ale nie dowiedziałam się nic konkretnego. To nie jest galeria, w której ceny

są ustalone. Tu trzeba się targować jak na straganie.

Zaklicki skinął na kelnera i zamówił drugie piwo, Ania kawę ze śmietanką, a Maciek herbatę z cytryną. Dziennikarz nerwowo na przemian splatał i rozplatał palce. Dziewczyna przeglądała swoje zapiski. „Sherlock Holmes” wlepił wzrok w ścianę, naprzeciw której siedział.

Z letargu obudził ich kelner, przynosząc napoje. Zaklicki przeprosił i oddalił się, znikając wewnątrz budynku.

Oto skutki picia piwa — pomyślał wesoło Maciek.

Po powrocie Zaklickiego powiedział:

— Właśnie sobie przypomniałem, że w książce Zanozińskiego o Kotsisu podana była wielkość poszukiwanego obrazu. Zapamiętałem, że była zbliżona do obecnego standardowego formatu A2, to znaczy 594 na 420 milimetrów. Mam w hotelu bardziej szczegółowe notatki. W tej chwili mogę z całą pewnością wykluczyć największy i najmniejszy z pięciu obrazów, które opisała Ania.

— Ja to wiedziałem od samego początku — mruknął Zaklicki. — Zapomniał pan, że ja widziałem

ten obraz. Dawno bo dawno, ale pamiętam z grubsza jego rozmiary.

Narysował palcami w powietrzu prostokąt.

Maciek pomyślał chmurnie, że znowu nie udało mu się zabłysnąć.

— Zatem to pewne.

— Niewielka pociecha. — Na łysinie dziennikarza pojawiły się kropelki potu. — Co dalej?

— Dobrze by było obejrzyć rodzaj płótna tych trzech malunków. Jedno, stare, powinno się różnić od pozostałych — myślał na głos Maciek.

Ania była pesymistką.

— A jeżeli ten Dimde, czy jak mu tam, nie zechce mi dać do ręki wszystkich trzech obrazów, to jak będę mogła obejrzyć ich tkaniny i blejtramy?

— Przynajmniej dwa uda ci się zbadać. Powiesz, że nie możesz się zdecydować i musisz obejrzyć i ten, i tamten przy świetle dziennym. — Zaciął się. — Nie. To na nic. Trzeba być fachowcem, żeby na pierwszy rzut oka dostrzec subtelne różnice.

— Wymyśl coś. — Ania dopingowała Maćka. — Ja zrobiłam, co do mnie należało.

— To znaczy?

— Wydobyłam od Schwerdtfegra adres sklepu?

Tak. Poszłam tam na przeszpiegi i dostarczyłam ci informacji? Tak. Teraz ty się weź do roboty, Sherlocku.

— Ej, Mato Hari, superszpiegu, pozwól mi pomyśleć. Jeżeli chcesz mnie bardziej zmobilizować, musisz mnie inaczej dopingować.

— Jak? Czym?

— Może... Może nagrodą za rozwiązanie kolejnej zagadki.

— Nagrodą? — zastanawiała się. — Co byś chciał dostać?

— Domyśl się.

— Wybij to sobie z głowy. Tego na pewno nie dostaniesz — zachichotała figlarnie.

— Ależ mnie tym zdołowałaś! W takim stanie psychiki niczego mądrego nie wymyślę.

Zaklicki przysłuchiwał się z wyrozumiałym uśmiechem przekomarzaniom swoich młodych, czupurnych współpracowników.

Wreszcie nie zdzierzył i oświadczył:

— Ja będę arbitrem i ja wyznaczę, jaką nagrodę

dostaniesz od Ani, jeśli tylko znajdziesz wyjście z sytuacji. Nie bój się, perełko — zwrócił się do dziewczyny — nie będzie to nic strasznego.

— Niech tak będzie, ale jeżeli on się zbłądzi, to bę... — urwała w pół słowa.

— Nie licz na to — zakończył krótko Maciek.

Zaraz potem opamiętał się. Co za licho go podkusiło, żeby się tak popisywać? To ta kobieta tak na niego działa. Steruje nim, grając na jego ambicji, a on pozwala się wodzić za nos.

Zdarzało mu się w życiu czasem wygłupić, ale akurat wobec tej dziewczyny nie chciał się skompromitować.

Dotarł do niego głos Ani, ale nie rozumiał słów.

— Przepraszam, co mówiłaś? Zamyśliłem się

— Znowu coś przede mną ukrywasz. Jesteś pewny siebie, bo wiesz coś, o czym ja nie mam pojęcia. Nie powiedziałaś mi wszystkiego.

— Niczego nie ukrywam.

— Na pewno?

— Na pewno.

— Przekonam się jutro, czy mówisz prawdę.

— Jak?

— Jeżeli wskażesz jedno z trzech kawiarnianych malowideł, będziesz musiał uzasadnić swój wybór.

— Jasne. Przedstawię moje rozumowanie.

— A może ty już wiesz, który to obraz? Przyznaj się.

Maciek uderzył się w piersi.

— Jak Boga kocham, nie mam pojęcia... I to mnie martwi — dodał po chwili.

Obiad i narada dobiegły końca. Ania wezwała kelnera, mając zamiar zapłacić za obiad, ale okazało się, że wcześniej uczynił to Zaklicki. Maciek musiał przyznać w myśli, że znowu źle ocenił sytuację. To nie wypite piwo spowodowało odejście starszego pana od stolika, a w każdym razie nie było ono jedynym tego powodem.

Dziewczyna protestowała, lecz na nic się to nie zdało. Zaklicki, zadowolony z fortelu, powiedział, że da jej drugą szansę jutro.

Rozdział VII

BELINA PRZEJMUJE INICJATYWĘ

Ania odwiozła ich do hotelu. Nie chciała zostać do kolacji. Umówili się na południe następnego dnia, dając sobie jeszcze trochę czasu do namysłu i uznając, iż wczesne odwiedzenie sklepu mogłoby mieć niekorzystny wpływ na cenę obrazu. Pożegnali się i każdy poszedł w swoją stronę.

W pokoju hotelowym Maciek przebrał się w wygodniejszy strój. Wydobył z walizki swoje notatki, jakie porobił przed wyjazdem z Krakowa. Nie było ich wiele i nie pomogły mu w ustaleniu, który obraz jest tym, którego poszukują. Starał się wyeliminować przynajmniej jeden z trzech obrazów przedstawiających kawiarnię. Na jednym nie było napisu sugerującego, że kawiarnia nosi nazwę stolicy Iraku. Czy to jest wystarczającym argumentem za jego odrzuceniem? Gdyby nie wiszące obok niego inne „kawiarniane” obrazki, nikomu nie przyszłoby do głowy, że jest to

Café Bagdad. Ale nasuwa się pytanie, dlaczego Nowak spłodził tyle dzieł o podobnej tematyce i dlaczego w liście do swojego przyjaciela nie podał wprost tytułu, który by jednoznacznie określał właściwy wybór. Musiał mieć po temu jakiś powód. Nie miał zaufania do swojej pięknej pielęgniarce? Niewykluczone. A myśmy tak szybko dopuścili ją do tajemnicy!

Myśli Maćka zaczęły krążyć wokół ślicznej brunetki.

Zaklicki nazwał ją perełką. Piękna jak perła, a jednocześnie dręczy tak, jak perła uwiera małża w muszli. Drażni się ze mną, dokucza mi. Naraziłem się jej — stwierdził Maciek — ale nie wiem, czym. Mam niewyparzony, złośliwy język — to fakt... A może ona w ten sposób maskuje swoje zainteresowanie moją osobą? Ech, marzy mi się.

Czytał kiedyś, że na Łużycach i na Dolnym Śląsku znajdowano w potokach perły. W czystych wodach żyły skójki perłorodne, małże, które w osiemnastym wieku całkowicie wytepiono.

Wrócił myślami do obrazów.

Na żadnym malowidle nie pojawia się nazwa

kawiarni w całości. Raz jest to Café Ba... , innym razem ...afé...g... . Czy to g ma związek z ostatnią nutą melodii Nowaka? A w ogóle skąd ta nazwa Bagdad? Co ona oznacza, albo sugeruje?

To chyba proste — odpowiedział sam sobie. — Z siedmiu liter używanych w muzyce do oznaczania dźwięków nie da się ułożyć wielu wyrazów. Szyfrując informację takim kodem, jest się bardzo ograniczonym. Malarzowi udało się ułożyć ledwie parę sensownych kombinacji tych liter. Z dwóch słów stworzył nazwę kawiarni. Potem wykorzystał tę nazwę, dopasowując do niej treść obrazu. Nawet nie. Treść jest ogólnie kawiarniana, a Bagdad występuje szcątkowo lub w tle. Ale, do licha, dlaczego dwa razy? Po kiego diabła to utrudnienie?

Może Zaklicki posiadał dawno temu dodatkową informację, ale o niej zapomniał? Po sześćdziesiątce ludzka pamięć szwankuje. Może stary człowiek nie potrafi powiązać odległych faktów. Mówi się, że starość nie radość. A oni młodzi, to znaczy Ania i Maciek, nie mają wszystkich danych, nie znają przeszłych wydarzeń. Mają do rozwiązania jedno

równanie z wieloma niewiadomymi. Bez dodatkowych warunków nie da się go jednoznacznie rozwiązać.

Może Nowak na stare lata również miał kiepską pamięć i zapomniał, że kiedyś wcześniej namalował już jeden obraz z tą samą kawiarnią w tle? Nie, nie sądzę, żeby zapomniał; nie malował tak wielu obrazów, że mógłby nie pamiętać. Chociaż kto wie?

Ha, mam! Jeden z możliwych przebiegów wypadków mógł być taki: Schwerdtfegrowi lub komukolwiek innemu odwiedzającego malarza spodobał się obraz kryjący dzieło Kotsisa i chciał go kupić lub wyłudzić od Nowaka. Oczywiście malarz nie mógł się pozbyć właśnie tego dzieła, więc namalował podobną scenkę po raz drugi.

Prawdopodobnie Schwerdtfeger został obdarowany tym obrazem i teraz przekazał go do sprzedaży razem z obrazami pozostałymi w domu po Nowaku.

Mogło tak być.

Gdyby tak można było po ludzku porozmawiać ze Schwerdtfegrem...

Pomyślał, że z całej trójki osób zaangażowanych w

sprawę on, Maciek, jest w najtrudniejszym położeniu. Nie znał malarza, nie był w jego domu, nie widział jego prac.

O, to ostatnie jest jeszcze do nadrobienia!

Rzucił okiem na zegarek. Zerwał się na równe nogi. Jeszcze zdążę do Dimdego.

Już był na schodach.

Przechodząc obok recepcji położył na ladzie klucz od pokoju i wypadł na ulicę.

Zupełnie niepotrzebnie tak pędzę — oprzytomniał, gdy się zasapał i spocił. — Będę na czas.

Upał trwał nadal. Co prawda słońce nie grzało już tak mocno jak w południe, ale nagrzane domy i asfaltowe ulice oddawały zakumulowane ciepło. Wzrosła wilgotność powietrza, co powodowało, że odczuwalna temperatura wydawała się wyższa niż wskazywały termometry.

Zaraz będzie lało — stwierdził, rozglądając się po niebie. I miał rację.

Gdy zdyszany zbliżał się do Ostrower Strasse, spadły pierwsze krople deszczu, a gdy dochodził do sklepu Dimdego, rozpadało się solidnie. Był z tego

zadowolony. Miał pretekst do schronienia się w sklepie przed rozpoczynającą się ulewą.

Oprócz niego i sprzedawcy znajdowała się tam jeszcze para turystów o wyraźnie wschodnioazjatyckich rysach. Oboje z aparatami fotograficznymi na piersiach przyglądali się europejskim starociom bez większego zainteresowania. Prawdopodobnie weszli do sklepu tylko ze względu na deszcz.

Ani chybi Japończycy — uznał Maciek. — Emeryci na wycieczce do Europy.

Człowiek za kontuarem podniósł się z krzesła i zapalił światło, bo w lokalu zrobiło się szaro. Potem podszedł do orientalnego tandemu i po angielsku zagał rozmowę.

Nasz „detektyw” począł systematycznie rozglądać się po zgromadzonych starociach. Długo zatrzymał się przy przedmiotach z porcelany. Wziął do ręki małą figurkę dziewczynki poganiającej kijem gęsi. Spodobała mu się. Przyjrzał się starannie patykowi gęsiareczki, czy nie był uszkodzony. Obrócił figurkę do góry nogami, by sprawdzić znak fabryczny. Sygnatura była miśnieńska — skrzyżowane niebieskie szable.

Postanowił zapytać o cenę.

Ledwie skierował wzrok na sprzedawcę, ten już się znalazł przy nim.

— How much? — Maciek pokazał figurkę.

— Five and ninety — odpowiedział Dimde angielskimi słowami, ale w niemieckiej kolejności.

— Ninety five? — poprawił go Maciek umyślnie, po to żeby go trochę speszyć.

— Tak — pospieszył z wyjaśnieniem handlarz, naturalnie po angielsku.

— Cena jest w markach, czy w euro? — dopytywał się Maciek.

— W euro, ale przyjmuję marki — brzmiała odpowiedź.

— Za drogo. — Odłożył ęgiarękę na półkę.

— Sprzedam za dziewięćdziesiąt — padła nowa oferta.

Dziewięćdziesiąt euro — rozważał Maciek — wydaje się niedrogo, ale spróbuję jeszcze się potargować.

— Dziękuję — mruknął i postąpił dwa kroki w głąb długiej sali.

Dimde nie dał za wygraną.

— Ostania cena: osiemdziesiąt. To przedwojenna robota.

— Zastanowię się — odburknął potencjalny klient i powędrował obejrzeć wystawione na sprzedaż malarstwo.

Obrazów nie było wiele. Wszystkie mieściły się na jednej ścianie czterometrowej długości; większe wysoko, małe na wysokości oczu a nawet niżej.

Długo udawał, że ogląda każdy obraz z zainteresowaniem. Zaraz gdy tylko stanął przed pracami Adama Nowaka, uświadomił sobie, że nie przyszedł tu na próżno. Wystarczył mu jeden rzut oka na eksponowane obrazy. Znalazł „brakujące ogniwo”!

Musiał parę razy głęboko wciągnąć do płuc powietrze, bo poczuł dziwny ciężar na piersi. Poziom adrenaliny we krwi przekroczył wszelkie granice. Serce pracowało ze zdwojoną prędkością.

Opanował się. Poszedł parę kroków dalej, żeby nie wzbudzić swoim stanem żadnych podejrzeń u sprzedawcy.

Nie pierwszy raz przeżywał podobne chwile.

Wiedział już, jak się czują uczeni, gdy dokonają odkrycia, na które czekali od lat. Jego odkrycia nie były tak istotne dla ludzkości, ale każdy doświadcza satysfakcji na swoją miarę.

Co by było, gdybym tu nie przyszedł? — Odpędził tę myśl jak natrętną muchę.

Potoczył wzrokiem po wnętrzu. Japończycy stali niemo i nieruchomo przy drzwiach wejściowych, czekając aż deszcz ustanie.

Horst Dimde zajął swe zwykłe miejsce za ladą. Zobaczywszy, że gość rozgląda się po jego „salonie”, natychmiast zjawił się u jego boku.

— Chce pan kupić obraz? — zapytał z ukłonem.

— Nie. Malarstwo mnie nie interesuje.

Rozczarowany sprzedawca podreptał z powrotem.

Maciek powoli posuwał się w stronę porcelany.

Zaoferuję siedemdziesiąt euro i będę czekał tak jak Japończycy. Dam mu czas do namysłu. Jeżeli się nie zgodzi, wpadnę tu jutro i zapłacę osiemdziesiąt.

Jak pomyślał, tak zrobił. Sklepikarz odmówił sprzedaży po zaproponowanej przez klienta cenie. Maciek machnął ręką i stanął w pobliżu drzwi,

obserwując padające gęsto kropelki deszczu.

Długo, bardzo długo nic się nie działo. Deszcz nie zmieniał nateżenia. Nikt nic nie mówił.

Zbliżała się pora zamykania sklepu. Zegar ścienny wskazywał za piętnaście szóstą.

Dobry nastrój Beliny ułatwiał mu wyczekiwanie. Obmyślał już dalsze kroki, kupno i wywóz obrazu.

Japończycy nudzili się setnie. Co chwila patrzyli to na zegarki, to na niebo.

Właściciel antykwariatu też zaczął się niespokojnie wiercić. Nie liczył już na nowych klientów. Kto przyjdzie w czasie niepogody? Mógłby już zamknąć i pójść do domu.

Wreszcie ogłosił:

— Przepraszam. Zamykamy.

Dlaczego użył liczby mnogiej *we are closing*? Chciał, żeby jego słowa miały większą rangę, żeby wypłoszyły niedoszłych klientów?

Wyciągnął z szuflady pęk kluczy. Stało się jasne, że trzeba opuścić chwilowe schronienie przed deszczem. Nie ma rady. Z cudzego wozu złaź choćby i w połowie drogi. Azjaci chwycili się za ręce i wybiegli na ulicę.

Maciek zaczął aż Herr Dimde zbliży się do niego.

— Siedemdziesiąt pięć? — powiedział wyczekująco.

Dimde zrozumiał, o co chodzi upartemu klientowi. Wstrzymał się z zamykaniem drzwi.

— Okay — stęknął i zawrócił.

Przeniósł gęsiarkę na ladę. Wytarł ją z kurzu, którego nie było. Zapakował starannie. Zainkasował należność i życząc gościowi dobrego dnia, odprowadził go do wyjścia.

Zadowolony z siebie nabywca figurki pobiegł ulicą, szukając ochrony przed deszczem. Nie była to ulewa, ale gęsty, drobny kapuśniaczek. Wystarczył, by przemoczyć Maćka do cna. Nim znalazł dach nad głową, młodzieniec już trząsnął się z zimna. Wspomnił podobną sytuację, jaką przeżył niedawno w Złotym Potoku. Tam było bez porównania gorzej. Ulewa, las i boląca noga. Teraz zwyczajna siapanina, duże miasto tudzież dobre samopoczucie. To że woda chlupie w butach, to nic.

Z powodu chłodu zrezygnował z dłuższego zatrzymania się pod wiatą na przystanku autobusowym.

Wolał rozgrzać się w ruchu niż czekać nie wiadomo jak długo. Nie miał biletu na przejazd i nie wiedział, czy można go nabyć w autobusie. Nie znał tras autobusów miejskich, więc nie wiedział również, jak dojechać do hotelu. Rozkładanie i studiowanie w tych warunkach wielkiej płachty planu Chociebuza, którą nosił przy sobie, groziło jej całkowitym zniszczeniem.

Pędził biegiem, póki nie zabrakło mu tchu. Potem mógł tylko iść szybkim krokiem, przeskakując przez kałuże.

W połowie drogi deszcz zniknął, jak nożem uciął. Znowu wyjrzało słońce. Od razu zrobiło się znośniej.

Wpadł do hotelowego holu. Recepcjonista, podając mu klucz, patrzył na niego ze zdziwieniem, ale i z odrobiną współczucia.

W pokoju było ciepło, w łazience jeszcze cieplej. Maciek zrzucił mokrą odzież. Z grubsza osuszył się ręcznikiem. Sprawdził, jak przedstawiają się dokumenty w portfelu, który nosił w tylnej kieszeni spodni. Na szczęście zachowały się w doskonałym stanie, ale wydobyty z drugiej tylnej kieszeni plan miasta był rozmoknięty. Rozłożony na stole i przetarty

delikatnie suchą chusteczką do nosa stwarzał jednak nadzieję, że zachowa swą przydatność na resztę krótkiego pobytu w Chociebużu.

Właściciel planu dla ratowania własnej przydatności wziął gorący prysznic. Potem zażył polopirynę i wskoczył pod kołdrę.

Godzinę później zadzwonił telefon. To Zaklicki chciał namówić rodaka na wspólną kolację, ale Maciek odmówił.

— Jestem po kąpieli — tłumaczył się (Mógł uczciwie powiedzieć, że nawet po dwóch kąpielach, zimnej i gorącej.) — i głowa trochę mnie boli.

Głowa go nie bolała. Wręcz przeciwnie. Był zdrowy jak ryba (choć już nie w wodzie). Pomyślność i zadowolenie uodparnia na wszystkie choroby. Od dawna wiadomo, że ludzie szczęśliwi rzadko chorują.

A jednak...

Było coś, co psuło mu radosny nastrój.

W zakamarku umysłu kołatała się niepokojąca myśl, że zbyt szybko się pospieszył z wyborem obrazu. Jeden rzut oka i podjął decyzję. Na dobrą sprawę nie przyjrzał się wszystkim szczegółom malowidła, a miał

przecież tyle czasu... Jak zwykle działał pochopnie. Powinien wyciągnąć wnioski z praktyki biurowej. Wielokrotnie zdarzyło mu się grzebać w koszu na odpadki, szukając kartki, którą nieopatrznie tam wrzucił, uznając ją za zbędną lub błędną. Nieraz też musiał się posłużyć programem do odzyskiwania skasowanych danych na twardym dysku komputera.

Za wcześnie było na sen. Leżał i dumał. Rozmyślał o wydarzeniach, jakie go przywiodły do Chociebuża, o Ani, która od początku darła z nim koty, o jej życiu na obczyźnie. Następnie zaczął się głowić nad najbezpieczniejszym sposobem przewiezienia obrazu do Polski. Rozważał różne warianty. Wystaranie się o legalne zezwolenie zajęłoby kilka, a może kilkanaście, dni. Trzeba by sfotografować malowidło, napisać podanie, lub wypełnić urzędowy formularz, dołączając do niego zdjęcia przedmiotu. Potem pozostawało czekanie na decyzję. Nie brał pod uwagę odpowiedzi odmownej. Obrazek nieznanego nikomu współczesnego malarza nie zostanie zatrzymany.

Jest tylko jedno „ale”: brak czasu. I on, i Zaklicki muszą się stawić w poniedziałek w pracy. Jutro jest

sobota, weekend, i w te dni nic się nie da załatwić.

Ania... Ona może się zająć urzędowymi formalnościami. Chyba można jej zaufać... „Perełka” Zaklickiego. Owinęła go sobie wokół małego palca... Ale co o niej wiemy? Pewne jest tylko to, że pracuje w szpitalu. Nie znamy jej adresu, ani w Chociebużu, ani w Legnicy. A czy to, że pochodzi z Legnicy, to prawda? Tak powiedziała, ale mogła równie dobrze wymienić Wałbrzych, Wrocław albo Zieloną Górę...

Znalazł się w rozterce. Przyznawał w duchu, że dziewczyna budzi jego sympatię. To prawda. To nawet skromnie powiedziane. Z drugiej strony, jeśli odrzucić pozaracjonalne wrażenia, nie pozostawało prawie nic, co by niezbicie świadczyło o jej uczciwości i lojalności. Ale musiał też przyznać, że dotychczas nie dało się jej zarzucić, że działała na ich szkodę. Z całą pewnością była im bardzo pomocna.

Czy zaryzykować i zostawić jej ten cenny obraz? A jeżeli nie, to co robić? Przemycić? Zaryzykować i w razie wpadki stracić obraz i zostać ukaranym za pospolite przestępstwo?

Każdy wariant niósł ze sobą ryzyko.

Zmęczony bezowocnymi rozmyślaniami zasnął.

Męczyły go majaki. Śniła mu się Ania ścigająca Zaklickiego.

W ręku trzymała białą damską torebkę, którą waliła dziennikarza po grzbiecie, ilekroć udało jej się do niego zbliżyć. Maciek chciał ją powstrzymać, ale nogi miał ciężkie jak z ołowiu. Nie był w stanie jej doścignąć. Oddalała się i stawiała się coraz mniejsza, aż całkiem znikła za widnokregiem.

Obudził się spocony. To działanie polopiryny. Obrócił się na drugi bok i niebawem ponownie zapadł w sen.

Teraz role we śnie się odwróciły; Zaklicki gonił dziewczynę. Maciek nadal nie potrafił pobiec szybko za nimi. Patrzył bezsilnie, jak stary osobnik dopada do niej. Ania woła o ratunek...

Ocknął się znowu. Nasłuchiwał, jakby spodziewał się usłyszeć kobiecy krzyk.

Nic. Cisza.

Wstał z łóżka. Zapalił światło. Otworzył na oścież okno, wpuszczając do wnętrza pokoju świeże powietrze. Siedząc na łóżku, czekał aż zimny powiew

ogarnie pomieszczenie.

Prawie nigdy nic mi się nie śni — myślał. — Akurat dziś gnębią mnie idiotyczne koszmary. Skąd się to bierze?

Przymknął okno, zostawiając szparę dla wymiany powietrza.

Ledwie przyłożył głowę do poduszki, już spał. Tej nocy omamy już się nie pojawiły.

Rozdział VIII

PLOTKARKI

Obudził go dźwięk dzwonka telefonu. Sięgnął po słuchawkę. To Zaklicki wołał na śniadanie. Już dziewiąta.

— Za piętnaście minut będę na dole — obiecał Maciek.

Wygramolił się z łóżka, ale senność go nie opuszczała.

Niechętnie na sztywnych nogach poczłapał do łazienki. W dużym lustrze dojrzał zaspanego, rozczochranego małpoluda ze skrzywioną miną. Nie wyglądał inteligentnie.

Westchnął i z namaszczeniem zaczął mydlić twarz. Golenie. Potem tylko umycie twarzy i poczuł się lepiej.

Zastanowił się, w co się ubrać. W garniturze było wczoraj za gorąco. Może dziś wystąpić na sportowo?

Pomacał suszące się spodnie. Suche. Włożył białą koszulę. Nie, nie ubiorę się na białe. Zmienił koszulę na

jasnoniebieską. Spodnie były jasne, ale nie białe, raczej beżowe. Trzeba wziąć sweter, przynajmniej na śniadanie. Ranek po deszczu jest chłodny.

Zaklicki czekał w jadalni. Powitał Maćka i oznajmił:

— Będzie pan jadł to, co ja. Już zamówiłem jajecznicę na bekonie i dodatki. Kto późno przychodzi, sam sobie szkodzi.

— Nie będę grymasił — zapewnił Maciek.

— Jak spędziłeś wczorajszy wieczór? — Zaklicki raz zwracał się do Maćka przez pan, innym razem był z nim na ty.

— Pożytecznie.

— To znaczy jak?

— Rozwiązywałem naszą łamigłówkę.

— Masz na myśli pytanie, który obraz należy kupić?

— Tak.

— I co?

Maciek nie odpowiedział.

— Niezbyt jesteś rozmowny — zauważył dziennikarz.

— Jem — wykpił się Maciek.

— Proszę?

— Jem. Jestem głodny. Nie jadłem kolacji.

— Aha. Pogadamy przy kawie.

Kawa miała dziwny smak. Maciek gderał:

— Nie smakuje mi ta lura.

Zaklicki parsknął śmiechem.

— Zamówiłem kawę z koniakiem. Widzę, że trafiłem jak kulą w płot.

— Wołałbym z mlekiem. Nawet piwo piję bezalkoholowe. — To ostatnie stwierdzenie Maćka nie było całkiem zgodne z prawdą.

— W moim wieku — westchnął Zaklicki — odrobina alkoholu dobrze robi na serce.

— Zauważyłem, że nie tylko alkohol, ale jeszcze coś, a właściwie ktoś, też panu działa na serduszko.

Starszy pan złapał w mig, co Maciek miał na myśli.

— Może powiesz, że tobie Ania się nie podoba?

— Podoba się. Pewnie, że się podoba, ale działa mi bardziej na nerwy niż na serce.

— Bo pokazuje swoją niezależność...

— Szarogęsi się, panoszy.

— Piękne kobiety takie są. Nawykły do tego, że mężczyźni im schlebiają i słuchają ich poleceń.

— Spotykałem już ładne kobiety. Nie wszystkie były takie apodyktyczne i złośliwe.

— Pewnie żadnej na tobie nie zależało, więc zachowywały się obojętnie i uprzejmie.

— Interesujący pogląd.

— Ale prawdziwy.

— Chce pan przez to powiedzieć, że Ania się mną zainteresowała? Niech pan pomyśli, co pan mówi. Ona może mieć każdego mężczyznę, jaki jej się spodoba.

— Chyba, że on jest na tyle głupi i ślepy, że opacznie tłumaczy sobie jej zachowanie.

Maciek wiedział, że te mocne słowa padły pod jego adresem, ale nie czuł się przekonany do wywodów Zaklickiego.

— Co będziemy robić do południa? — Zmienił temat rozmowy.

— Ma pan jakieś zamiary?

— Proponuję przechadzkę po mieście, relaks oraz kupno pamiątek i prezentów.

Maćkowi omal się nie wyrwało, że już wczoraj

kupił sobie pamiątkę, ale postanowił trzymać w tajemnicy swój wypad do Dimdego. Przynajmniej do czasu.

Podjechali nissanem do śródmieścia. Zostawili samochód na strzeżonym parkingu i rozpoczęli wędrowkę po sklepach.

Półtorej godziny, jakie mieli do dyspozycji, zleciało jak błyskawica. Zapomnieli w tym czasie o problemach, z którymi musieli się zmierzyć. Zaklicki nabył elegancki skórzany portfel ozdobiony reliefowym rakiem, herbem Chociebuza. Maciek nie znalazł nic dla siebie.

Za kwadrans dwunasta wrócili pod hotel. Ania już tam na nich czekała. Panowie znowu się zachwycili jej widokiem. Nosiła biały kostium, spod którego wyzierała biała bluzka w cieniuteńkie czarne paseczki. W rękę trzymała małą białą torebkę. Na głowie miała jak zwykle przepaskę. Białe czółenka na szpilkach dopełniały eleganckiego stroju.

Klasa! — pomyślał „Sherlock Holmes”. — Ale nie trzeba kreacji od Diora, żeby taka piękność dobrze się prezentowała.

Zaprosiła ich do swojego samochodu. Maciek,

siedząc za nią mógł podziwiać kaskadę długich, gładkich włosów spadających na oparcie fotela.

Zanim ruszyli, dziewczyna zapytała:

— Czy panowie zdecydowali, który obraz mam kupić?

Maciek rzucił dwa słowa:

— Plotkarki. Schwätzerinnen.

— Co? Jaki? — rozległy się równocześnie zaskoczone głosy z przednich siedzeń.

— Plotkarki. Przecież mówię wyraźnie. Obraz za tytułowany Plotkarki. Po niemiecku Die Schwätzerinnen.

Obrócili się do niego.

— Czemu właśnie ten? Dlaczego?

— A dlaczego nie?

Ania naburmuszyła się i wróciła do poprzedniej pozycji. Zaklicki powiedział łagodnie:

— Żartujesz, czy coś wiesz?

Maciek się zawstydził.

— Wszystko wam wyjaśnię, ale dopiero wtedy, gdy go będę trzymał w rękach. Jedźmy. Szkoda czasu.

Ania spojrzała pytająco na Zaklickiego. Ten skinął

głową.

* * *

Zaparkowali daleko od sklepu. Na całej długości ulicy trudno było o wolne miejsce. Dziennikarz wręczył Ani pieniądze. Tak jak poprzednim razem mężczyźni zostali w samochodzie, a dziewczyna pospieszyła do Dimdego.

Czekali niecierpliwie. Czas dłużył im się bez końca. Ponieważ felicja była tak ustawiona, że sklep znajdował się z tyłu, poza nią i poza zakrętem, Maciek wykręcał szyję, chcąc rzucić okiem w stronę, z której miała nadejść Ania. Zaklicki kręcił w palcach mały zwitek papieru i bezustannie spoglądał na ręczny zegarek, mimo że na tablicy rozdzielczej widniał sporej wielkości czasomierz. Nie odzywali się.

Czemu to tak długo trwa? — niepokoił się Maciek, na przemian to oskubując paznokcie, to gładząc podbródek.

Michał Zaklicki otworzył drzwi i wysiadł. Stał obok samochodu i wpatrzył się w zakręt. Rozluźnił

kołnierzyk koszuli. Za chwilę Maciek też się wyczołgał na zewnątrz. Ściągnął sweter i rzucił go na tylne siedzenie. Chodził po chodniku tam i z powrotem; pięć kroków do przodu, pięć kroków wstecz, jeszcze pięć kroków tam i pięć do tyłu.

Wreszcie zza węgła wyłoniła się oczekiwana kobieca postać z opakowanym w szary papier sprawunkiem. Mężczyźni pospieszyli jej naprzeciw.

O kilka kroków przed nimi szedł w tym samym kierunku młody człowiek. Gdy zrównał się z Anią, jednym ruchem wyszarpnął jej z ręki torebkę i natychmiast zaczął uciekać. Zaskoczona dziewczyna wydała tylko lekki okrzyk i skonsternowana spoglądała za napastnikiem.

Maciek ruszył w pościg.

Szybko się zorientował, że nie doścignie złodzieja. Nie był sprinterem, a na domiar początkowy moment zawahania pozwolił uciekającemu oddalić się o dobre kilka metrów. Dystans między nimi nieco się zmniejszył, gdy złodziej przebiegał przez jezdnię na drugą stronę ulicy. Akurat wtedy zjawił się samochód, przed którym uciekinier musiał zwolnić, aby nie wpaść pod koła.

Belina miał więcej szczęścia i przebiegł z jednego chodnika na drugi bez przeszkód, ale po chwili odległość między biegnącymi znowu zaczęła się stopniowo powiększać.

Do licha, jak się woła po niemiecku Stój, bo strzelać! — myślał w biegu. Nie miał, co prawda, z czego strzelać, ale taki okrzyk mógłby oszukać opryszka, a przynajmniej cokolwiek go zdeprymować.

Obejrzał się. Zobaczył, że Ania biegnie za nimi. Obraz zostawiła Zaklickiemu i wcale zgrabnie pędziła na wysokich obcasach za ścigającymi się młodzieńcami. Nieliczni przechodnie przypatrywali się z dala gonitwie, ale nikt nie chciał wziąć w niej udziału.

„Biegacze” zbliżali się do skrzyżowania. Maciek spodziewał się, że jak tylko złodziej zniknie za rogiem, wpadnie do jakiejś bramy i schowa się na znanym mu podwórzu lub klatce schodowej. Ostatkiem sił przyspieszył biegu, ale kilkunastometrowy odcinek między nimi się nie zmniejszył.

Uciekinier skręcił w pełnym biegu za narożny dom... i wtedy Maciek usłyszał piskliwy kobiecy głos wołający:

— Hilfe! Polizei! Polizei!

Jeszcze parę kroków i również znalazł się za narożnikiem. O mało co byłby wpadł na siedzącą na środku chodnika staruszkę, która wołała o pomoc. Za nią leżał na plecach złodziejasek, obiema rękami chroniąc gardło przed warczącym niebezpieczeństwem w postaci dorodnego wilczura, który szarpał go za rękę.

Jeszcze odrobinę dalej leżała koło kratki ściekowej porzucona biała damska torebka.

Zasapany Maciek ostrożnie okrążył psa i jego ofiarę i podniósł torebkę. Równie ostrożnie powrócił do siedzącej kobiety i postawił ją na nogi. Wtedy nadbiegła Ania. Jednym spojrzeniem omiotła scenę zdarzenia i zaczęła tłumaczyć rozhisteryzowanej babci, że to nie był napad na nią, ale wypadek, że mężczyzna wybiegający z za rogu zaplątał się w smycz, na której babcia prowadziła psa (a może to pies prowadził ją).

Starowina nie przestawała jednak się wydzierać:

— Polizei! Polizei!

A wilczur równie gorliwie czynił swoją powinność. Twarz i dłonie pechowego złodzieja spływały krwią.

Zęby i pazury bojowego zwierzęcia zostawiły swoje ślady. Żadna z przechodzących osób nie zatrzymała się. Omijając szerokim łukiem groźnego owczarka, lub przechodząc na drugą stronę ulicy, wszyscy udawali, że nie widzą zajścia.

Ania uznała, że lepiej będzie, jeżeli wraz z Maćkiem opuszczą miejsce zdarzenia. Kontakt z policją groził dużą stratą czasu, albo jeszcze czymś gorszym.

Spokojnie, bez pośpiechu, żeby nie wzbudzać podejrzeń, podreptali z powrotem za róg.

Ania już z daleka pomachała Zaklickiemu torebką. Redaktor wcześniej zrezygnował z pościgu i zadyszany tylko czekał na jego rezultat. Widok Ani wracającej z odzyskaną torebką niewymownie go ucieszył.

— Jak wam się udało... — próbował zadać pytanie, ale dziewczyna nie pozwoliła mu dokończyć i w kilku zdaniach streściła, co się stało za winklem.

— No, no — pokręcił głową dziennikarz. — Złodziejaszek miał pecha, co się zowie, że trafił na obronnego psa bez kagańca.

— Nigdy bym drania nie dogonił — przyznał

Maciek. — Wścigi to nie jest moja specjalność.

— Nieźle ci szło — pochwaliła go Ania.

— Do tej pory mam zadyszkę, tak mi dobrze szło, a raczej bieгло — uśmiechnął się Belina. — Chodźmy do samochodu; mam ochotę złożyć moje zwłoki na siedzeniu.

Ania sięgnęła do odzyskanej torebki.

— Utargowałam dwadzieścia procent — pochwaliła się, oddając Zaklickiemu resztę pieniędzy.

— Dzielna dziewczynka — pochwalił ją redaktor.

— Chciałbym go zobaczyć — wskazał na pakunek z obrazem.

— Zawieźmy go do hotelu — zaproponował Maciek. — Tam go sobie dokładnie obejrzymy.

— Jedźmy, jedźmy — gorączkował się pan Michał.

Wszystkim się spieszyło, ale dziewczyna uznała za konieczne zatankowanie paliwa. Nadłożyli nieco drogi, żeby zajechać na stację benzynową i musieli poczekać parę minut, zanim stojąca przed nimi przy dystrybutorze luksusowa limuzyna nie łyknęła okazałej porcji wysokooktanowej etyliny. Potem młody kulturysta

będący zapewne właścicielem kosztownego bmw poszedł zapłacić za paliwo, a przy okazji zrobić drobne, ale długotrwałe, zakupy, pozostawiając wóz pod pompą paliwową.

Wracał wolnym krokiem, nie przejmując się tym, że za jego samochodem czeka następny. Spoglądając co chwila na felcję, otworzył bagażnik i układał w nim zakupione drobiazgi. Sprawiał wrażenie specjalnie guzdrzącego się. Za to, kiedy wreszcie raczył wsiąść do auta i nonszalancko trzasnąć drzwiami, wystartował z piskiem opon, ostro niczym rajdowiec na odcinku specjalnym.

Komu chcesz w ten sposób zaimponować, idioto? — pomyślał sobie Maciek. — Masz bogatego i wpływowego tatusia i sądzisz, że wszystko ci wolno, ale słoma ci z butów wystaje i zalatuje od ciebie gnojem.

Na szczęście pasażerowie skromnej felcji mieli myśli zaprzątnięte ważniejszą sprawą i, mimo chęci jak najszybszego obejrzenia za-kupionego obrazu, niezbyt się przejęli prowokacyjnym zachowaniem chamskiego osiłka. Bez nerwów podciągnęli pod dystrybutor.

Maciek pomógł Ani wlać benzynę do baku. Dwie minuty później już zmierzali do Dorotheenhofu.

* * *

W hotelowym pokoju Zaklickiego Ania pośpiesznie rozsupłała paznokciami węzełki na sznurku, którym obwiązany był cenny nabytek. Oderwała taśmę klejącą i wysunęła obraz z papierowego opakowania. Obejrzała go skrupulatnie ze wszystkich stron i postawiła na łóżku, opierając o ścianę.

W tym momencie Maciek poczuł ulgę. Jego obawy, jakie żywił wczoraj wieczorem, rozwiały się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Na tylnym planie scenki przedstawionej na płótnie dostrzegł sylwetkę pianisty przy fortepianie. Jeszcze jedno potwierdzenie, że wybrał właściwe dzieło.

Zaklicki był wśród ich trojga jedyną osobą, która jeszcze nie widziała Plotkarek. Z uwagą przyglądał się kolorowej kawiarnianej scenie. Nasunęło mu się skojarzenie z dziełami impresjonistów francuskich, a w szczególności Augusta Renoira. Przedplan stanowiło

nieostro pokazane ogrodzenie porośnięte zielenią. Prawie centralnie ulokowany główny motyw obrazu, okrągły stolik z trzema siedzącymi przy nim kobietami, wyraźnie odcinał się od szkicowo potraktowanego tła, pawilonu kawiarni kryjącego się poza smukłymi krzewami – cyprysami lub tujami. Pozy przyjaciółek przy stoliku wskazywały, że zagłębione są w ożywionej rozmowie. Dwie kobiety były ustawione profilem do widza, trzecia, siedząca pomiędzy nimi, widoczna była en face.

— Sympatyczny widok — podsumował swe obserwacje Zaklicki.

— Żal będzie go zniszczyć.

— Sympatyczny, ale banalny — skomentował Maciek.

— Że też ty musisz stale wszystko krytykować — zbesztła go Ania.

— A ty musisz zawsze krytykować mnie — odgryzł się. — Właśnie tak, jak teraz. Szybko powiedz mi coś miłego, bo inaczej się zabiję z rozpaczy, że tak mnie nie lubisz.

— Znowu się sprzeczacie? — wmieszał się

Zaklicki. — Spokój!

Teraz poproszę o wyjaśnienie, dlaczego właśnie ten obraz uznałeś, Maćku, za właściwy.

— Przemawiają za tym dwa argumenty. Pierwszy to litera g widoczna na szyldzie kawiarni. Były dwa obrazy zawierające w sobie szcztątkowe nazwy lokalu. Na jednym widoczny był początkowy fragment Cafe Ba. Gdyby malarz chciał nam wskazać ten obraz, wystarczyłoby przysłać panu melodię złożoną tylko z sześciu nut.

Niepotrzebne byłoby wydłużanie jej i umieszczanie na końcu nutki G. To G musiało coś znaczyć.

— Sam mówiłeś wcześniej, że mogło to być rozwiązanie tylko melodii.

— Prawda. Zakończenie nutą D lub A nie byłoby tu raczej mile dla ucha i z tego powodu sądziłem, że końcowa nuta miała tylko znaczenie muzyczne. Jednak, gdy się dowiedziałem, jak wyglądają napisy na obrazach, i stwierdziłem, że G występuje tylko na jednym z nich, uznałem, iż ma ono szczególne znaczenie.

— Strasznie to skomplikowane — odezwała się

Ania. — Nie rozumiem, po co pan Nowak namalował dwa obrazy z szyldem kawiarni. Gdyby istniał tylko jeden, nie byłoby problemu.

— Ja też nie wiem, jaki był tego cel, a może przyczyna. Domyślam się... — i tu Maciek wyłuszczył swoje wcześniejsze rozumowanie o możliwym powodzie pojawienia się dwóch obrazów o kawiarnianej tematyce. — Prawdopodobnie namalował drugi na życzenie kogoś, komu spodobał się pierwszy. Przypuszczam, że był to Herr Schwerdtfeger.

— Adam wiedział, że grywam na fortepianie — głośno myślał Zaklicki. — Przecenił jednak moją domyślność. Zagrałem tę melodię wiele razy, lecz nie przyszło mi do głowy, że należy ją odczytać w taki sposób, jak to zrobił Maciek.

— Zdarza się czasem, że nie dostrzegamy rzeczy leżących na widoku. Szukamy daleko i głęboko, a nie zwracamy uwagi na przedmioty leżące w zasięgu ręki.

— Nie powiesz chyba, że odczytanie znaczenia tej melodii było banalnie proste. — Dziewczyna nie dała się przekonać. — Mówiłeś wszak, że trafiłeś na rozwiązanie przypadkowo.

— Tak było — przyznał Maciek. — Rozwiązanie pojawiło się na samym początku moich rozważań, ale — gdyby nie to — prędzej czy później doszedłbym do niego.

— Zarozumialec — skwitowała tę odpowiedź Ania. — Pan Nowak nie wymyślał szyfru dla geniusza, tylko dla starszego człowieka, którego nie pasjonują takie hieroglify. Skąd miał pewność, że jego kolega sobie poradzi z łamigłówką.

Belina uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Nie miał pewności i dlatego dodał jeszcze inne podpowiedzi. Na przykład ten pianista — wskazał miejsce palcem — powinien się kojarzyć i z nutami przysłanymi w liście i z osobą twórcy obrazu, który był zarazem muzykiem, i z obecnym tu panem redaktorem Zaklickim, który także grywa na fortepianie. Jest jeszcze jedna dodatkowa wskazówka. Właściwie to nie dodatkowa, ale najważniejsza, najprostsza i najłatwiejsza do odczytania. Okazało się jednak, że najciemniej jest pod latarnią. Rozgryźliśmy muzykę, a przegapiliśmy dużo wyraźniejszą informację.

Czarnowłosa piękność stawała się coraz bardziej

niecierpliwa. Potrząsnęła grzywą czarnych włosów i rzuciła ostro pytanie:

— Gdzie znalazłeś wzmiankę o plotkarkach?

— To by było zbyt oczywiste. Nie było mowy o plotkarkach. Zresztą zauważ, że obraz nie nosi żadnego tytułu. Ani z przodu, ani na odwrocie. To Dimde zaopatrzył sprzedawane przedmioty w tytuły według własnego uznania. Zresztą całkiem trafne.

— To jak...

Maciek nie pozwolił jej dokończyć zdania.

— To była bułka z masłem. Zapamiętałem, że w liście Nowaka znajdowało się zdanie o niebieskim krawacie.

Spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

— Nie gapcie się na mnie, lecz na obraz.

Zaklicki wykrzyknął:

— Rany! Centralna postać ma na piersi niebieski krawat!

— To nie jest krawat, raczej apaszka albo żabot

— sprostowała Ania.

— A może halsztuk? — zadrwił Maciek. — Nie wątpię, że każda kobieta znajdzie jeszcze pół tuzina

innych określeń na to, co ta plotkara ma pod szyją, ale Nowak, jako mężczyzna, nie znał pewnie żadnego z nich. Dla niego był to po prostu krawat. Jego kolor też nie budzi wątpliwości. Malarz mógłby go określić znacznie bardziej precyzyjnie, na przykład: cyjan, ultramaryna, błękit paryski, krakowski czy jakiś tam. Użył jednak ludzkiego języka, a nie fachowego żargonu. No i mamy niebieski krawat zrozumiały dla każdego laika zarówno w dziedzinie mody jak i kolorystyki malarskiej.

— Zgadzam się z tobą — poparł Maćka Zaklicki.

— Dla mnie jest to zwyczajny, szeroki niebieski krawat. Ja, głupi, myślałem, że Adam chciał, żebym mu kupił taki kawałek garderoby. Przywiozłem go ze sobą, bo przy czytaniu listu przemknęło mi nawet przez głowę, że mu to kiedyś obiecałem.

— Moja pierwsza myśl była identyczna — wyznał Maciek. — Teraz sędzę, że autor listu napisałby Przywieź mi obiecany niebieski krawat, a nie Nie zapomnij o niebieskim krawacie. Dopiero wczoraj się opamiętałem. Szyfr muzyczny był tylko dodatkową podpowiedzią. Miał zasugerować, że list zawiera ukrytą

wskazówkę. Zdanie o krawacie powinno mi od razu otworzyć oczy. Wozić krawat z Polski, jakby w Niemczech nie było krawatów! A tak nawiasem mówiąc, dawniej ta męska ozdoba nazywana była krawatką albo kroatką. Kroaccy czyli chorwaccy najemnicy Napoleona nosili specjalne chustki na szyjach, coś w rodzaju bandany lub chusty harcerskiej. Taką apaszkę polscy żołnierze napoleońscy zwali kroatką i z tego wyrazu powstała krawatka. Podobnie w naszych czasach pojawiło się słowo arafatka od chusty noszonej przez Jasira Arafata, przywódcy Palestyńczyków.

Maciek chciał mówić dalej, ale wpadła mu w słowo Ania:

— U mnie w domu mówi się właśnie krawatka.

— Dawniej w całej Galicji tak się mówiło. W Kongresówce, prawdopodobnie pod wpływem języka francuskiego albo na skutek podobieństwa do rosyjskiego słowa krawat' oznaczającego łóżko, krawatka zmieniła płeć na męską i w nowej postaci rozplenila się po całym kraju... Lecz w mniej popularnych niż odzież dziedzinach ciągle utrzymała się

pierwotna forma. Papierowa lub foliowa etykieta na szyjce butelki piwa powyżej etykiety głównej to krawatka a nie krawat. Podobnie jest z zaczepem wisiorka łączącym go z łańcuszkiem czy kolia.

Zaklicki przerwał te lingwistyczne popisy.

— Wróćmy do tematu. Zastanawiam się, czy sama uwaga o niebieskim krawacie nie była wystarczająca. Po co ten cały galimatias z Cafe Bagdad?

— Teraz też myślę, że nie był potrzebny. Pan Adam przesadził z podpowiedziami. Chociaż...

— Co chociaż?

— Tak sobie myślę, że gdyby był tylko jeden obraz przedstawiający kawiarnię, nie mielibyśmy kłopotu z wyborem. W domu malarza znajdował się pewnie tylko jeden. Drugi został dodany przez Schwerdtfegera. Tak jak wcześniej kombinowałem, Schwerdtfeger dostał podobny obrazek i po śmierci autora postanowił go spieniężyć. Dołączył go do znalezionych w domu Nowaka. Tak musiało być. I w taki sposób w sklepie znalazły się obok siebie Plotkarki i Elegantki, sprawiając nam kłopot.

Dziennikarz pokiwał głową.

— Kiedy padło na ciebie olśnienie co do znaczenia niebieskiego krawata? — zadał pytanie.

— W momencie, gdy tylko zobaczyłem obraz...

— Gdzie go widziałeś? — obcesowo przerwała mu dziewczyna.

— A gdzie go mogłem zobaczyć? U Dimdego. W sklepie.

— Kiedy?

— Wczoraj.

— Wczoraj?

— Tak. Po południu

— Byłeś tam?

— Jasne. Jak inaczej mógłbym go obejrzeć?

— O, ty podstępna kreaturo! Mnie odprawiłeś do domu, a sam się wybrałeś na... na... — Brakło jej słów.

Maciek w teatralnym geście załamał rękę.

— Miałem cię wzywać na pomoc? Przecież nie mogłem iść z tobą. Sama postanowiłaś, że handlarz musi skruszeć do następnego dnia. Uznałem, że warto pójść i przyjrzeć się malowidłom. Ty już je widziałaś. Żebyś wiedziała, jak zmokłem w deszczu.

— Dobrze ci tak. — Ania była niepokieszona.

Dziennikarz uznał, że powinien uspokoić sytuację.

— Nie musimy i nie możemy pokazywać się wszędzie we troje. Stanowimy zespół, to fakt, ale każdy może działać na własną rękę, byle nie przeszkadzał drugiemu. Nie traktujcie się jak rywali. Tylko dzięki współpracy udało się nam wejść w posiadanie tego skarbu. Tak, nie waham się użyć tego słowa. To skarb narodowy.

Przemowa ochłodziła młode głowy. Maciek postanowił udobruchać ambitną dziewczynę.

— Aniu, kto wymyślił, jak podejść Schwerdtfega, żeby wydobyć od niego, gdzie się znajdują obrazy? Kto załatwił sprawę z Dimdem tak, żeby nie powziął żadnych podejrzeń? Bez ciebie utknęlibyśmy na samym początku. Myślisz, że tego nie widzimy?

— Ciągle mam wrażenie, że coś przede mną ukrywacie, nie macie do mnie zaufania.

— To już minęło. Na początku rzeczywiście tak było, ale to melodia przeszłości. Przekonaaliśmy się, że możemy na ciebie liczyć. Ufamy ci.

— Tak?

— Czy mówię niejasno, niewyraźnie? Powtórzę

dużymi literami: UFAMY CI.

— Chciałabym, żeby tak było.

— Dziewczyno, zastanów się. Czy sądzisz, że chcę zadzierać z tak śliczną osobką?

— Śliczną, śliczną... Wszyscy tylko to widzą, a intelektu nikt nie dostrzega.

Maciek pomyślał w tym momencie, że miliony dziewcząt chętnie oddałyby całą swoją inteligencję, żeby zdobyć urodę Ani. Powiedział jednak pokornie:

— Aniu, wybacz, taki jest męski punkt widzenia. Uroda bije w oczy, a intelekt objawia się tylko w niektórych sytuacjach. Dowiodłaś, że potrafisz myśleć, ale gdy patrzę na ciebie, to nie widzę twego rozumu tylko powierzchowność. Czy mam wyliczać zalety, jakie u ciebie dostrzegłem? Masz ich multum.

— Lepiej już przestań się podlizywać, bo jeszcze chwila i się mi oświadczysz.

— Nie jestem taki szybki i, jak dotąd, nie nabrałem wprawy w oświadczeniu się.

Na tym rozmowa się urwała. Każda z obecnych osób miała nad czym rozmyślać.

Pierwszy ocknął się z zadumy Zaklicki.

— Obraz został odzyskany, ale to nie koniec kłopotów. Trzeba go teraz dostarczyć do Polski.

— Nie widzę w tym najmniejszych trudności. — Ania lekceważąco machnęła ręką.

— Byłoby to łatwe, gdybyśmy mieli dużo czasu, ale ja muszę wracać do pracy.

— Ja też — dorzucił Maciek.

— Chcąc załatwić sprawę legalnie — ciągnął Zaklicki — trzeba złożyć wniosek o pozwolenie na wywóz dzieła sztuki, załączyć zdjęcie obiektu i, co najgorsze, czekać na odpowiedź.

Teraz Maciek machnął ręką.

— Odpada. Zabawimy się w przemytników.

— Łatwo się mówi, trudniej robi. — Dziennikarz nie palił się do roli szmuglera. — Co będzie, jak nas nakryją?

— Wtedy będziemy się tłumaczyć zgodnie z prawdą, że to nie żaden antyk, tylko współczesne dzieło pańskiego zmarłego kolegi. To się da udowodnić.

— Ale zanim nam się to uda, posiedzimy w niemieckim areszcie, poddadzą nas niezliczonym

przesłuchaniom i kto wie, co nas jeszcze będzie czekać.

Maciek nie był takim pesymistą.

— Jeżeli w ogóle znajdą obraz i go zakwestionują, zostawimy go w depozycie w komorze celnej na granicy. Potem napiszemy liścik do naszej drogiej tu obecnej koleżanki — uśmiechnął się do Ani — z prośbą, żeby odebrała naszą własność i załatwiła niezbędne formalności. Wtedy będzie nam wszystko jedno, czy załatwianie potrwa dwa dni czy dwa miesiące. Trzeba będzie, rzecz jasna, przysłać Ani upoważnienie do odbioru depozytu, albo lepiej od razu je napisać. Na wszelki wypadek.

Zaklicki zastanawiał się. Zerknął spod oka na dziewczynę, jakby oczekiwał jej opinii. Ania uśmiechała się, ale nic nie mówiła.

Dziennikarz podzielił się swoimi myślami:

— Może uda się ukryć obraz w samochodzie tak, żeby niełatwo go było znaleźć. Ci pogranicznicy nie są zbyt pracowici, nie będą głęboko grzebać w naszych rzeczach. Pamiętaj, że nie kontrolowali nas szczegółowo przy wjeździe.

— Tak, w tę stronę właściwie nie było kontroli, ale

wtedy byliśmy spokojni, naturalni, wyluzowani. Doświadczony celnik potrafi poznać po zachowaniu, czy podróżny ma czyste sumienie, czy nie. Teraz trudno nam będzie zachowywać się jakby nigdy nic.

— Hmm – tylko chrząknął Zaklicki.

— Ukrywanie niesie zwiększone ryzyko – dokończył Maciek.

— Racja — przytaknął ponuro dziennikarz.

Wtedy wkroczyła do akcji piękna brunetka.

— Panowie, nie zapominajcie o mnie.

— Jak to? O co chodzi? — pytał zaskoczony Zaklicki.

— Nie kombinujcie tam, gdzie nie ma potrzeby. Przewiozę wam tę kontrabandę na drugą stronę granicy.

— Jak? — równocześnie wykrzyknęli dwaj panowie.

— Pamiętajcie, że mam rodzinę w Legnicy i regularnie, mniej więcej co dwa lub trzy tygodnie, jeżdżę tam i z powrotem przez Nysę. Wszyscy funkcjonariusze ze służby granicznej mnie znają. Nigdy nie sprawdzają, co przewożę. Nawet o paszport nie

pytają. Zamieniają ze mną parę miłych słów i machają na pożegnanie.

Maciek nie wytrzymał. Musiał zażartować.

— To dlatego, że doceniają twój „intelekt”, Aniu.

Dziewczyna zamierzyła się na niego pięścią.

— Hmm — znowu chrząknął Zaklicki.

— A jak się trafi kontroler-baba a nie mężczyzna?

— Maciek wysunął nowe wątpliwości.

— Zawsze wyprzedzi ją jakiś dżentelmen, żeby ze mną porozmawiać.

— Raczej popatrzeć z bliska — sprostował Belina.

Czarnowłosa piękność zawahała się, czy skomentować jego wypowiedź, ale uznała widocznie, że najlepiej zrobi, zrywając ją milczeniem. Przyzwyczajała się do Maćkowych uszczypliwości. Zauważyła, że docinki to jego specjalność.

Wróciła do przerwane go wątku.

— Jak wam wcześniej mówiłam, mam tu swój portret namalowany niedawno przez pana Nowaka. Wezmę ten portret razem z Plotkarkami. Włożę go do bagażnika jakby nigdy nic. Jeżeli, w co wątpię, ktoś by do niego zajrzał, pokażę portret, który nie mógł

powstać dawno temu, bo ja jestem na nim przedstawiona. Oba obrazy noszą taki sam podpis autora, więc wyszły spod tego samego pędzla współcześnie, nie przed stu laty. Nikt nie będzie chciał ich zatrzymać.

— Będąc na miejscu celnika, zatrzymałbym twój portret. Codziennie bym na niego patrzył i cieszył oczy.

— Maciek mówił to z prawdziwym przekonaniem.

Dziewczyna udawała naburmuszoną, ale oczy jej się śmiały.

— Gdyby robił trudności, dam mu w prezencie moją podobiznę pod warunkiem, że zostawi mi drugi obraz.

— Na to pójdzie każdy chłop. — Mężczyźni spojrzeli po sobie.

— Zdolna jesteś do takiej ofiary? Poświęcić samą siebie dla dobra sprawy? — Maciek żartował, ale Ania chyba potraktowała jego słowa poważnie.

— Nie siebie, tylko swój portret. Nie widzisz różnicy? — sprzeciwiła się zaczepnie.

Zanim chłopak zdążył odpowiedzieć, Zaklicki wykrzyknął:

— To genialny pomysł! Nikt się pani nie oprze.
Znaczy: żaden mężczyzna — poprawił się.

— Nawet ja — dorzucił wesoło swoje trzy grosze
Maciek.

W ciągu kilku ostatnich minut dziewczyna
rozkwitała w oczach. Wyprostowała się. Jakby urosła.
Na jej policzkach pojawiły się rumieńce. Na wargach
gościł uśmiech. Biło od niej zadowolenie i duma.

Bo znowu udowodniła, jak wiele ma zalet.

Rozdział IX

OSTATNI WIECZÓR

Sobotni wieczór był pogodny i umiarkowanie ciepły. Wysoko stojący księżyc nastrajał romantycznie.

Gawędzili pod parasolem w hotelowym ogródku.

„Ogródek” to mało odpowiednie słowo dla kawałka wybetonowanego podwórka. Kilka skrzynek z kwiatkami oraz egzotyczne krzaczaste rośliny w donicach usiłowały upiększyć to miejsce, ale trojgu naszych przyjaciół niepotrzebne było piękne otoczenie. Mężczyźni zupełnie nie zwracali na nie uwagi, wpatrując się w „ich” czarującą brunetkę, a ona cieszyła się z dzisiejszego tryumfu. Kończący się dzień niewątpliwie był udany.

— Życie czasem też ma powaby — filozofowała — chociaż, w gruncie rzeczy, świat jest fatalnie monotonny.

— Głęboka sentencja — westchnął Zaklicki.

— Dzięki panom oderwałam się na chwilę od

szarej codzienności, przeżyłam wyjątkowo ekscytującą przygodę...

— Nie mów w czasie przeszłym — sprostował Maciek. — Przygoda jeszcze trwa. Jutro życie może nas zaskoczyć.

— Nie spodziewam się niczego złego.

— Takiej ślicznotki nie spotykają nieszczęścia. Wszyscy ułatwiają i umilają jej żywot.

— Tak ci się wydaje?

— Pewnie. Mój kolega mawiał, że dla pięknych kobiet i przystojnych mężczyzn zarezerwowana jest słoneczna strona ulicy. Brzydsza część ludzkości pozostaje w cieniu i może jedynie z daleka podziwiać tamtych szczęśliwców.

— Głęboka sentencja — westchnął znowu Zaklicki.

Podmuch wiatru przywiał kolorowe ptasie piórko w pobliże ich stolika. Maciek schylił się po nie, podniósł z posadzki i zatknął Ani we włosy, za przepaskę.

— Wyglądasz jak Nszo-czi — zaśmiał się.

— Jak kto?

— Nszo-czi, siostra Winnetou. No tak,

dziewczyny nie czytują Karola Maya. Gdybyś chciała wiedzieć, kto to był, to niedaleko stąd, pod Dreznem, w Radebeulu znajdziesz jego muzeum.

— Wiem, ale May i westerny mnie nie wzruszają. Nie jest to mój ulubiony gatunek literacki.

— Wolisz romanse? — To brzmiało raczej jak twierdzenie, a nie jak pytanie.

— Nie wstydzę się tego. Pracuję ciężko. Znajduję się w obcym kraju, sama, jedynie z Tereską. Wszystkie dni są do siebie podobne. W takim położeniu przyjemnie jest czasem poczytać o miłości i pomarzyć o szczęściu we dwoje.

— Szczęście we dwoje... — Maciek rozłożył szeroko ręce. — Tak, tak. Mark Twain powiedział: Chcąc doznać pełni szczęścia, trzeba je dzielić z drugą osobą.

— Jeszcze jedna głęboka sentencja — westchnął po raz trzeci Zaklicki. — Co za intelektualny nastrój! Zostawiam was samych, we dwoje. Jestem stary, gruby, zmęczony i niepotrzebny. Już późno. Dobranoc. Do jutra. Idę się przygotować do jutrzejszej podróży. To kawał drogi.

Wstał i podreptał do hotelu.

Zapadła niezręczna cisza.

Anią wstrząsnął dreszcz.

— Robi się zimno — usprawiedliwiła się.

— Może pójdziemy do pokoju — zaproponował.

— Lepiej pojedę już do domu. Muszę się przygotować do jutrzejszej podróży.

— Przecież jedziesz z jednego swojego domu do drugiego. Nie musisz brać dużo bagażu.

Nie odpowiedziała.

— Możemy jeszcze porozmawiać godzinkę. Jutro nie będzie takiej okazji. — Próbował ją zatrzymać.

— O czym będziemy rozmawiać po dwóch krótkich dniach znajomości?

Zabrzmiało to dziwnie przykro.

— To były emocjonujące dwa dni.

— Długo będę je wspominać.

— Ale zapomnij, żeśmy się stale kłócili.

— Strasznie dużo ode mnie wymagasz — zaśmiała się. — Nie wiem, czy mi się uda.

— Nie jest to takie trudne. Ja już zapomniałem

— Fajnie. Jak załatwicie sprawę do końca, spraw

sobie komórkę i zadzwoń do mnie, gdzie będę mogła obejrzeć ten obraz Kotsisa. Przyjadę zobaczyć, czy warto było tyle się z tobą użerać... Napiszę ci mój numer.

Sięgnęła po bibułkową serwetkę, wyjęła długopis z torebki i wykaligrafowała rząd cyfr.

— Obiecuję.

Schował świstek do portfela.

— Pożycz mi długopisu — dodał. — To mój numer. Stacjonarny. — Wręczył jej serwetkę. — Wieczorami jestem zawsze w domu. Weź na wypadek, gdyby coś się stało.

— Co się może stać?

Maciek się uśmiechnął.

— Sformułuję to inaczej: na wypadek, gdybyś miała ochotę porozmawiać ze mną, zanim sprawię sobie komórkę.

— Znowu powiem: nie licz na to. Jeżeli nie zadzwonisz, to będzie to oznaczało koniec znajomości.

— Myślałem..

— Nie myśl. To cię męczy. — Wybuchła śmiechem.

— Myślenie o tobie mnie nie męczy; przeciwnie, sprawia mi przyjemność.

— Jeśli tak, to pozwalam ci myśleć o mnie bez przerwy.

— Już tak robię.

— Zobaczymy, jak prędko zapomnisz o mnie.

Zadrżała.

— Muszę jechać. Nie chcesz, mam nadzieję, żebym się przeziębila. — Podniosła się z krzesła.

Maciek zerwał się na nogi.

— Miło się z tobą gawędziło.

Odprowadził ją do samochodu.

Odemknęła kluczykiem drzwi, ale nie otworzyła ich. Zwróciła twarz ku niemu, jakby chciała coś powiedzieć. Zawahała się. Jeszcze raz włożyła kluczyk do zamka. Uświadomiła sobie, że już to robiła. Powoli wsiadła i ulokowała się na siedzeniu.

Maciek przeszedł na drugą stronę wozu i szarpnął za klamkę.

Drzwi nie ustąpiły. Ania nachyliła się ku nim i wyciągnęła bolec blokujący zamek. Było to wyraźne zaproszenie do zajęcia miejsca koło niej.

Siedzieli, milcząc, ale nie było to kłopotliwe milczenie, jakie zapada, gdy rozmówcy wyczerpią temat, a czują, że należy podtrzymywać dialog. W zaistniałej sytuacji cisza wydawała się naturalna i właściwa.

Ania znowu zadrżała od chłodu.

— Tam leży mój sweter. — Maciek sięgnął na tylne siedzenie. — Włóż go, będzie ci cieplej. Będziemy mogli jeszcze posiedzieć razem.

Dziewczyna wzięła sweter i naciągnęła go na kostium.

— A tobie nie jest zimno? — zatroszczyła się o Maćka.

— Nie — skłamał. — Przy tobie?

— Im bliżej końca, tym jesteś miłszy, obłudniku.

— Ja i obłudnik! — oburzył się. — Ale nie mówmy o mnie. Opowiedz coś o sobie.

— Już mówiłam. Nie mam nic ciekawego do dodania. Mam ci opowiadać o pracy, czy wspominać szkołę? To całe moje dotychczasowe życie.

— Zacznij od szkoły. Wyobrażam sobie, jak byłeś oblegana przez chłopców ze wszystkich klas.

— Zdaje ci się. Aż do matury byłam nieładna i chuda jak patyk. Zupełnie nieatrakcyjna. Potem szybko nabrałam ciała. — Wyprostowała się. — Za parę lat będę gruba.

— Nie wyobrażam sobie — zaprzeczył.

Było tak ciemno, że ledwie widział zarys jej głowy.

— Lepiej opowiem ci o moim mieście. Byłeś już może kiedyś w Legnicy?

— Nigdy.

— Przyjedź. Warto zobaczyć zabytkowe centrum, renesansowe kamieniczki, zamek z dwunastego wieku, akademię rycerską, resztki murów miejskich. Zamek ma wieże przypominające wyglądem minarety. Szczególnie jedna zawsze kojarzyła mi się z meczetem.

— Ciekawe — półgłosem mruknął Maciek, żeby tylko coś powiedzieć.

— W pobliżu miasta znajdziesz wiele atrakcji, jakie lubisz. W Złotoryi możesz zwiedzić starą kopalnię złota wydrążoną pod cmentarzem. Okolica słynie ze złotonośnych potoków i z niewyjaśnionych tajemnic z czasów drugiej wojny światowej.

— Cały Dolny Śląsk kryje takie tajemnice.

— Mój region nie jest wyjątkiem. Mówi się, że w Złotorzy Niemcy ukryli w starych sztolniach złoto wywiezione z Wrocławia w ostatniej chwili przed nadejściem Rosjan.

— Słyszałem o tym.

— W pobliżu Złotorzy w Uniejowicach istnieje prywatne muzeum Armii Radzieckiej. Jeden z tamtejszych gospodarzy zgromadził w swoim domu i sadzie pamiątki po stacjonujących dawniej na tych terenach żołnierzach rosyjskich.

— Dostyc się naoglądałem pomników wdzięczności i nie pasjonuje mnie takie muzeum.

— W Wielisławce podobno też są gdzieś ukryte skarby wrocławskie.

Maciek z dezaprobatą pokręcił głową.

— Wszędzie skarby, skarby — mruknął — tylko że nikt nigdy nic nie znajduje.

Ania niezrażona opowiadała dalej:

— W Groźcu stoi przepiękny zamek o bogatej i niezwyklej historii i pałac, z którego biegnie tunel do parku. Jedno z jego wyjść jest ukryte w konarach drzewa.

— To coś dla mnie.

— Tak sędzę. W parku w latach sześćdziesiątych bawiące się dzieci znalazły gliniany dzban ze starymi monetami.

— Zatem dla mnie już nic nie zostało.

— Skąd ta pewnośc? Tam jest jeszcze wiele do odkrycia. Przyjedź, a przekonasz się.

— Gdybym miał czas... W tym roku już wykorzystałem połowę urlopu, a jest dopiero maj.

— Mówisz jak typowy pesymista: wykorzystałem już połowę. Optymista by powiedział: została mi jeszcze połowa.

— Prawdziwy optymista by powiedział: za rok znowu będę miał urlop. Ale niech będzie: została połowa. Czy to znaczy, że zapraszasz mnie do Legnicy?

— Chętnie będę ci służyć za przewodnika po moich rodzinnych stronach.

— Za przewodnika... Tylko tyle?

— Przyjedź, to się okaże. Na razie wyjdź z samochodu na świeże powietrze, żeby się ochłodzić.

Aluzja była przejrzysta. Maciek się stropił.

— To bardzo chłodne pożegnanie.

— Jutro będziemy się żegnać, teraz to krótkie rozstanie. Już jest późno, a muszę się spakować na jutro.

Wygrzebał się niechętnie z samochodu. Wcisnął po omacku trzpień w drzwiach i zatrzasał je za sobą.

Dziewczyna spuściła szybę w drzwiach po stronie kierowcy, więc okrążył felcję i przystanął z drugiej strony.

— A tak było miło — powiedział cicho.

— Śmiałeś się ze mnie, że lubię czytać romanse, a zachowujesz się jak amant z ckliwego romansidła. A tak w ogóle... sam jesteś jakiś... taki... staroświecki.

— Coś podobnego! Jak się mam zachowywać? Czy mamy się znowu sprzeczać?

— Przecież nie mówiłam, że twoje zachowanie mi się nie podobało.

— Podobało ci się?

Nie odpowiedziała.

Zapięła pas. Odpaliła silnik. Włączyła światła. Rzuciła krótko do stojącego obok Maćka:

— Cześć. Dobranoc.

Podkręciła szybę. Nawróciła samochód i dodała

gazu. Znikła za skrzyżowaniem.

Maciek stał na jezdni i spoglądał za samochodem.

— Do licha — wydyszał na głos — Przecież wolę blondynki. Czy to z powodu wiosny? Maj – pora zakochanych.

Pokręcił głową i wolnym krokiem udał się do swego pokoju.

Rozdział X

GDZIE DIABEŁ NIE MOŻE...

Wstał niewyspany. Nie miał apetytu. Wypił tylko filiżankę kawy, żeby nabrać werwy. Niewiele to pomogło. Zaklicki także sprawiał wrażenie zmęczonego czy może roztargnionego. Ruszali się jak muchy w smole.

Gdy pojawiła się Ania, dziennikarz regulował w recepcji rachunek. Grzebał w portfelu w poszukiwaniu karty płatniczej. Potem szukał po kieszeniach. Na szczęście nie zgubił jej. Tkwiła w kieszonce na piersi. Musiał ją tam włożyć poprzedniego dnia.

Maciek pakował walizki do nissana. Dziewczyna czekała cierpliwie przy swojej škodzie. Podniosła pokrywę bagażnika, żeby pokazać Maćkowi, że są w nim obrazy. Poza nimi wzięła na podróż tylko jedną małą walizeczkę.

— To wszystkie moje klamoty — wyjaśniła. — Jadę tylko na jeden dzień. Jutro muszę wrócić. Dobrze

się składa, że jutro pracuję na nocną zmianę.

— Gdyby nie my, mogłabyś wyjechać wczoraj.

— Nawet już w piątek po pracy. Ale nie żałuję. Odwiedzę rodzinę jeszcze wiele razy, a takiej afery pewnie już nigdy w życiu nie przeżyję.

— Mnie przygody nie omijają. Nie wszystkie były przyjemne. Zdarzało się, że znajdowałem się w opresji. Ale wszystkie dobrze się skończyły.

— Dlaczego mi wczoraj o nich nie opowiedziałeś?

— Wtedy myślałem o czym innym.

— Można wiedzieć, o czym?

— Nie domyślasz się?

W tym momencie zjawił się Zaklicki.

— Wszystko załatwione. Możemy ruszać.

— Ma pan dość paliwa? — zatroszczył się Maciek.

— Do Wrocławia wystarczy. Tam stacji benzynowych nie brakuje.

— No to wio!

Ania powiedziała:

— Trzymajcie się za mną. Za granicą na pierwszym parkingu po prawej stronie drogi zaczekam na was i

przekażę wam obraz.

— Wedle rozkazu, pani kierowniczo! — Zaklicki się uśmiechnął, usadawiając się za kierownicą.

Dziewczyna przez miasto jechała powoli, starając się pozostawać w zasięgu wzroku podążającego za nią kierowcy nissana. Wyjeżdżali z Chociebuza inną trasą, niż wjechali do niego pierwszego dnia. Nieco krótszą. Gdy znaleźli się na autostradzie, nie było już obawy, że się zgubią. Zaklicki znowu psioczył na nisko stojące słońce, świecące mu w oczy.

— Jadąc tutaj, jechałem na zachód i miałem pod słońce. Teraz zmierzam w przeciwnym kierunku i znowu, jak na złość, prosto w tę ognistą kulę.

Pojawiły się znaki drogowe informujące o zbliżaniu się do granicy. Zmniejszyli szybkość, pozwalając się wyprzedzić innym pojazdom.

Gdy dotarli do punktu kontrolnego i zatrzymali się w kolejce oczekujących na odprawę, oddzielały ich od škody Ani dwa inne samochody. Przyglądali się pracy służb granicznych. Celnicy nie przesadzali ze sprawdzaniem. Zwykle kończyło się na zaglądnięciu do wnętrza auta i do bagażnika.

Przyszła kolej na ich czarnulę. Maciek z Zaklickim w napięciu przypatrywali się rozwojowi sytuacji.

Do Ani podszedł wysoki młody mężczyzna. Zasalutował. Nachylił się do okna samochodu. Dziewczyna podała mu paszport. Pogranicznik znowu się zgiął w pół, mówiąc coś do Ani i pokazując na tył pojazdu.

— Jednak będą sprawdzać, co wiezie w bagażniku — wymamrotał Maciek.

Rzeczywiście. Ania wysiadła z wozu i podniosła tylne drzwi felcji. Obrazy leżały na wierzchu. Kontroler natychmiast się nimi zainteresował. Obejrzał najpierw portret, potem niepokojąco długo przyglądał się drugiemu obrazowi. Sprawdził też, co jest na jego odwrocie.

Maciek i Zaklicki wpatrywali się z napięciem w rozgrywającą się na ich oczach scenę.

— Nie jest dobrze — niepokoił się dziennikarz, ocierając pot z czoła. — Czyżby wpadka?

Ania gestykułowała szeroko, tłumacząc coś strażnikowi. On kręcił przecząco głową. Z paszportem w jednej ręce i obrazami w drugiej poszedł do budynku

biurowego. „Przemytniczka”, zaczerwieniona na twarzy, podreptała za nim, zostawiwszy otwarty samochód.

Za chwilę pojawili się z powrotem, a z nimi dwóch innych mężczyzn. Uśmiechy na ich ustach świadczyły, że dobrze się bawią.

Włożyli obrazy do bagażnika, zwrócili Ani paszport i ucieli sobie z nią pogawędkę.

Wtedy przyszła kolej na kontrolę Zaklickiego i Maćka.

Ich odprawa przebiegła podobnie jak przy wjeździe do Niemiec. Zaklicki na żądanie pokazał paszporty, potem podniósł pokrywę bagażnika. Celnik zapytał, czy mają coś do oclenia. Otrzymał przeczącą odpowiedź. Obszedł jeszcze pojazd dookoła i zwrócił im paszporty, zezwalając na dalszą jazdę.

Ruszyli w drogę, a Ania ciągle rozmawiała z kontrolerami.

Napięcie opadło. Samopoczucie mieli doskonałe.

— Uff — wysapał Maciek. — Dobrze, że nie wieźliśmy obrazu. Kto wie, jak by się sytuacja rozwinęła.

— Upiekło się nam.

— Jeszcze jak.

Ich zadowolenie wrastało z każdym przejechanym kilometrem oddalającym ich od granicy.

— Obawiałem się, że nie przepuszczą obrazów — kręcił głową Zaklicki — ale Ania owinęła ich wokół małego palca. — Wytarł chustką łysinę i zacytował przysłowie — Gdzie diabeł nie może, tam babę pośle.

— To pan posłał tę babę, nie żaden diabeł — zachichotał Maciek.

— Co fakt, to fakt — zgodził się dziennikarz. — Czy chcesz mnie przyrównać do czarta?

— Gdzieżbym śmiał. Pan sam wysnuł ten wniosek. Zaczęli się rozglądać za parkingiem. Musieli zaczekać na dziewczynę.

Za Jagłowicami pojawił się niebieski znak z literą P i zaraz potem w przydrożnym lasku zobaczyli miejsce na postój. Stał tam tylko jeden samochód... Policyjny. Zobaczyli go, gdy już było za późno, żeby się wycofać. Zaklicki wjechał na wyasfaltowany placyk i zatrzymał się z dala od policjantów.

— Musimy wysiąść i udawać, że najzwyczajniej chcemy odpocząć.

Zostawili otwarte drzwi. Zaklicki podniósł maskę i zaglądał do przestrzeni silnika. Maciek truchtał w miejscu, pozorując pobudzanie krążenia w nogach.

Jeden z policjantów podszedł leniwym, typowo policyjnym krokiem do Zaklickiego.

— Coś się zepsuło, panie kierowco?

— Nie, nie. Trochę się zagrzał. Gdzie w pobliżu można kupić płyn do chłodnicy?

— W Iłowej. Trzydzieści kilometrów — wskazał palcem na wschód.

Nachylił się nad motorem.

— Płynu jest dość. Może pompa wodna się psuje. Niech pan włączy ogrzewanie — doradził — to silnik będzie miał lepsze chłodzenie.

— Racja. Dziękuję. — Zaklicki zatrzasnął pokrywę i z powrotem zasiadł za kierownicą. — Już jest lepiej — powiedział do policjanta, wskazując na wskaźnik temperatury, po czym zwrócił się do Maćka.

— Wsiadaj. Jedziemy, bo do domu daleko.

Wyjechali ostrożnie na drogę. Maciek, który w międzyczasie przeanalizował sytuację, odezwał się:

— Widziałem jej felię. Zwolniła, przejeżdżając,

ale nie zjechała na parking. Chyba będzie na nas czekać na następnym.

— Tak sądzisz?

— Na pewno. Z pewnością zobaczyła policjantów i uznała, że na ich oczach tuż przy granicy lepiej nie przenosić obrazu z auta do auta. Mogłoby im się to wydać podejrzane.

Zaklicki nie był tego pewny.

— Zawsze są dwie możliwości: albo jest tak, jak mówisz, albo już jej nie zobaczymy.

— Niemożliwe. Nie panikujmy. Nie oszukałaby nas...

— Jeszcze niedawno nie miałeś do niej zaufania. Czyżbyś zmienił zdanie?

Maciek się zawstydził. Wczorajszy wieczór sprawił, że Ania stała się dla niego osobą szczególną. Nie chciał dopuścić myśli, że zdolna by była go oszukać.

— Co mogłaby zyskać, kradnąc panu ten obraz? Łatwo można ją odszukać przy pomocy policji.

— Najpierw musielibyśmy zgłosić na policji kradzież i przekonać śledczych, że obraz był moją

własnością, a kto uwierzy w naszą fantastyczną historyjkę...

— Mamy dowody: list pana Adama i...

Urwał, bo stwierdził, że wyczerpał listę dowodów.

Zaklicki rzekł kpiąco:

— Jeden dziwaczny list od nieżyjącego człowieka.

Wielki mi do-wód. Świadkowie za granicą. Żaden z nich nie zezna, że obraz był mój, albo przynajmniej, że mi się należał. Ponadto, nawet gdyby nam uwierzono, nie uda się znaleźć ani dziewczyny, ani obrazu.

— Obraz można ukryć — zgodził się Maciek — ale człowieka nie. Łatwo da się ją odnaleźć.

— Tak sądzisz?

— Tak.

— Pomyśl, ile Ann Malinowskich jest w Polsce. Mówi się Ann czy Anien?

— Anek. — Maciek krótko zbył pytanie. — Wiemy, że mieszka w Legnicy. Tam nie ma tysięcy Malinowskich.

— Skąd o tym wiemy? Od niej samej. Jesteś pewien, że powiedziała prawdę? Wierzysz jej?

Maciek nie znalazł odpowiedzi, bo sam nie tak

dawno żywił podobne wątpliwości.

Uświadomił sobie, że gdyby miał przy sobie komórkę, mógłby błyskawicznie sprawdzić, co się teraz dzieje z dziewczyną.

Zobaczyli z daleka parking po lewej stronie. Zaklicki przyhamował. Maciek omiół spojrzeniem mijany placyk. Stały tam dwa samochody, ale żaden nie był biały.

Przyspieszyli.

Maciek wyteżał wzrok, patrząc przed siebie na drogę. W oddali dostrzegł jasny punkcik. Samochód osobowy. Może to ona.

— Niech pan jedzie szybciej — poprosił Zaklickiego.

Dziennikarz ostro dodał gazu.

Szybko doganiali poprzedzający ich pojazd. Niebawem rozpoznali felcję Ani.

Gdy zbliżyli się do niej na około siedemdziesiąt, osiemdziesiąt metrów, dziewczyna włączyła migacz, zjechała na pobocze i zatrzymała wóz. Zaklicki zrobił to samo. Wysiedli z samochodu i podbiegli do niej.

— Wlokłam się pięćdziesiątką, a nie mogłam się na

was doczekać. Powinniście jechać szybciej. Zdecydowałam się nie wjeżdżać na umówiony parking, bo widziałam, że zatrzymał was tam radiowóz policyjny. Przy gliniarzach nie byłoby z pewnością przeladowywać naszą kontrabandę.

Panowie nie ukrywali zadowolenia. Zaklicki powiedział:

— Nie zatrzymali nas. Samiśmy tam zajechali, żeby poczekać na panią.

— Już się niepokoiłam, że przytrafiło się panom coś złego. Nie chciałam czekać na poboczu drogi, bo zaraz ktoś by się zatrzymał i zaoferował mi pomoc. Jechałam powoli i rozglądałam się za parkingiem po prawej stronie. Jak na złość nie było dotąd takiego. Zastanawiałam się, czy nie zawrócić i sprawdzić, co się z wami stało. Może jakaś nieprzyjemność ze strony policji.

Otworzyła bagażnik.

— Zabierzcie to wasze arcydzieło i nie stójmy tutaj. To nie jest dobre miejsce na pogawędkę.

Maciek przeniósł Plotkarki do nissana.

— Widzieliśmy, że miałaś kłopoty z jednym z

celników — zwrócił się do Ani.

— Ach, to jakiś nowicjusz. Starsi oglądali w biurze mecz w telewizji. Jemu kazali pracować w tym czasie. Gorliwy służbista. Naraził się tylko na szyderstwa kolegów. Powiedzieli mu: widzisz, kto tu jest namalowany? On na to: ta pani. A oni: To w takim razie te obrazy mają co najmniej pięćset lat, idioto. Przepróś naszą miłą pannę Anię. Zrobili sobie z niego niezłe cha-cha.

Maciek zarechotał ze śmiechu.

— Umówmy się teraz w Nowej Wsi Legnickiej — mówiła dalej dziewczyna. — Jest tam stacja benzynowa i parking przy zjeździe z autostrady. Tam się pożegnamy. Pospieszcie się.

Nie czekając na odpowiedź, wskoczyła do samochodu i wyjechała na drogę.

Poszli za jej przykładem. Zaklicki starał się utrzymywać krótki dystans między škodą a nissanem. Słońce stało już wysoko i nie utrudniało widoczności.

Wyśmiewali się ze swych lęków, z huśtawki nastrojów. Wypominali sobie nawzajem, który z nich i w jakich sytuacjach żywił obawy co do uczciwości Ani.

Dotarli w pobliże Legnicy. Jadąc śladem dziewczyny, na węzle opuścili autostradę. Zatrzymali się kilkaset metrów dalej.

— Ja już prawie jestem w domu — oświadczyła Ania. — Tu możecie nawrócić. Jeszcze raz dziękuję za wspaniałą przygodę. Ucałowała Zaklickiego w oba policzki. Potem, całując Maćka, szepnęła:

— Zadzwoń.

Nastąpiła wymiana pozdrowień, życzeń i uścisków rąk.

Na koniec Ania ponagliła:

— Jedźcie już. Do Krakowa daleko. Nie traćcie czasu.

Gdy zawracali na autostradę, Maciek patrzył, jak sympatyczna dziewczyna podniosła do ucha komórkę. Dzwoni do rodziców — pomyślał — a może do narzeczonego. Dorosła śliczna kobieta z pewnością ma narzeczonego, a przynajmniej sympatię. Piękne dziewczyny trzeba podrywać, kiedy są bardzo młode, potem już są zajęte. Dla spóźnialskich pozostają resztki. Sero venientibus ossa. Chyba tak mawiali starożytni Rzymianie.

Od Wrocławia Maciek musiał prowadzić samochód. Zaklicki, zwolniony z tego obowiązku, drzemał oparty o drzwi. Niebo zasnuło się szarymi chmurami i zrobiło się chłodniej.

Tak jak poprzednio najgorszy był przejazd przez Górny Śląsk. Tu nieco już wypoczęty Zaklicki pilotował Maćka. Za Katowicami jazda stała się przyjemnością.

Rozwiązały im się języki.

— Zawiozę obraz do Bieli — planował dziennikarz. — On się zajmie odzyskaniem tego, co jest pod spodem.

Maciek nie zrozumiał.

— Do jakiej bieli?

— Zapomniałeś? — zdziwił się Zaklicki. — Biela to mój znajomy kustosz z muzeum w Częstochowie. Poznałeś go niedawno u Hanyszkiewiczów.

— Racja. Ale on jest archeologiem, o ile dobrze pamiętam.

— Tak. Ma jednak szerokie znajomości wśród

muzealników różnej maści. Z pewnością znajdzie mi człowieka, który potrafi usunąć wierzchnią warstwę farby bez wyrządzenia szkody pierwotnemu malowidłu.

Pomysł nie znalazł uznania w oczach Maćka.

— Czy nie lepiej przekazać obraz wprost do Muzeum Narodowego w Krakowie? Tam się nim zajmą.

— Dzisiaj jest już na to za późno, a ja i tak muszę być jutro w Częstochowie. Spotkam się z Biela, albo do niego zatelefonuję i poproszę go o radę. Na razie zajedziemy pod twój dom. Zostawię cię i pojedę do siebie. Mam dodatkowe sto trzydzieści kilometrów do przejechania.

— Pański obraz, pańska decyzja — poddał się Maciek.

Pogawędka na rozmaite tematy ciągnęła się aż do węzła w Balicach. Jednak obaj mężczyźni nie wspomnieli ani słowem o pięknej pomocnicy, której tak wiele zawdzięczali. Unikali wspomnień, że raz jeden z nich, raz drugi podejrzewał ją o nieczne zamiary. Czuli lekkie wyrzuty sumienia.

Gdy stanęli pod blokiem Maćka i pożegnali się,

Zaklicki na odjezdnym obiecał:

— Odezwę się niebawem.

— Spodziewam się — mruknął Maciek. — Do widzenia.

Zaczekał aż jego towarzysz podróży i przygód zniknął za narożnikiem budynku, po czym skierował się ku bramie.

Przez kilka dni jego nieobecności nic się nie zmieniło. Skrzynka na listy świeciła pustką. Winda działała – dobry znak. W mieszkaniu zastał wszystko po staremu. Kaktusy przetrwały bez uszczerbku na zdrowiu. Rybki w akwarium dobrze zniosły krótką głodówkę. Sypnął im szczyptę suchego pokarmu. Włączył telewizor i rozparłszy się wygodnie na sofie, z przyjemnością posłuchał najświeższych informacji w ojczystym języku.

Potem głośno puścił swoją ulubioną muzykę, stary, dobry jazz nowoorleański.

Nie ma jak w domu — pomyślał — słuchając chrapliwych pomruków puzonu Kida Ory'ego.

Rozdział XI

U SIEBIE

Nazajutrz, jak zwykle w poniedziałek, świat nie przedstawiał się różowo. Pobudka o szóstej, zły humor szefa i zaległości w pracy mogą człowieka zniechęcić do życia.

Po pracy czuł się zmęczony psychicznie i fizycznie. Szedł w stronę przystanku autobusowego, nie myśląc o tym, co robi. Kierowało nim przyzwyczajenie.

Przechodził właśnie obok nowo otwartego sklepu, gdy dotarło do jego świadomości wypisane na szybie hasło Telefony komórkowe. Natychmiast powziął zamiar. Wszedł do sklepu i poprosił o telefon, gotowy do użytku, niewymagający aktywacji czy innych zawiłych procedur. Ekspedientka pokazała mu gablotkę z dwudziestoma różnymi komórkami i zachęciła:

— Proszę sobie wybrać.

Nie miał pojęcia, co począć.

— Proszę mi doradzić — poprosił. — Nie

orientuję się. Jakiś zwyczajny, bez „wodotrysków”.

— Niech pan weźmie ten albo ten.

Wybrał pierwszy z brzegu, kierując się niższą ceną.

Potem przypomniał sobie, że ma w kieszeni dwie rolki błon fotograficznych, które miał zanieść do wywołania. Zawrócił ku pobliskiemu sklepowi Kodaka. Oddał filmy. Zamówił po dwie odbitki, które obiecano wykonać na następny dzień.

W autobusie, jadąc do domu, myślał z dezaprobatą, że on, który prawie nie potrzebował telefonu, ma teraz dwa. Jak to się dzieje, że rozsądny mężczyzna nagle głupieje pod wpływem ładnej kobiecej buzi i zgrabnej figury?

W domu przestudiował instrukcję do nowego, świeżo nabytego gadżetu. Poćwiczył telefonowanie na bezpłatne numery. W książce telefonicznej swojej komórki zapisał pierwszy numer – Ani. Pod wpływem impulsu postanowił zadzwonić, ale wyłączył się, zanim się zgłosiła.

Wtenczas zadzwonił telefon stacjonarny.

To Zaklicki informował go, że jutro znowu przyjedzie do Krakowa. Biela poradził mu, żeby

przekazał obraz pani Julii Tokarskiej z Muzeum Narodowego, więc on, Zaklicki, przywiezie płótno około południa. Chce, żeby Maciek zjawił się pod muzeum o dwunastej. Pozna panią Tokarską i będzie pośrednikiem między nią a nim, czyli Zaklickim.

— Biela już nas umówił z panią kustosz. To jest jego stara znajoma, chyba jeszcze z czasów studiów.

Nie pomogły żadne tłumaczenia Maćka, że trudno mu będzie wyjść z biura w godzinach pracy, że gonią go terminy. Dziennikarz przyzwyczajony do innego stylu pracy zupełnie nie rozumiał jego obiekcji.

— Jutro, punkt dwunasta — zakończył rozmowę.

Maciek wyobraził sobie minę kierownika, gdy znowu będzie go prosił o zezwolenie na wyjście do miasta w godzinach pracy. Dla Maćka zaczął się teraz okres wyęźzonego wysiłku. Przez ten tydzień, albo i dłużej, będzie tyrał jak wół, od rana do wieczora.

* * *

Pani Tokarska była bardzo szczupłą, elegancko ubraną, siwowłosą damą w wieku Zaklickiego. Wiedziała, z czym przychodzą do niej goście.

— To ten obraz? Proszę mi go pokazać.

Maciek, który wniósł Plotkarki, rozpakował je i położył na biurku.

— Podoba mi się — pochwaliła. — Jest pan pewien, że chce pan zniszczyć to dzieło, żeby odkryć, co jest pod nim?

— Spodziewam się tam znaleźć coś znacznie lepszego.

— A jeżeli znajdziemy tylko samo płótno?

Pytanie było retoryczne i zamiast odpowiedzi Zaklicki tylko bezradnie rozłożył ręce.

Pani kustosz obejrzała pobieżnie dostarczone malowidło. Przez interkom wezwała do siebie młodą, jasnowłosą konserwatorkę. Ona starannie, z obydwu stron, ogładnęła obraz.

Tokarska powiedziała do niej:

— Panowie twierdzą, że pod tą kawiarnianą scenką jest ukryty inny, cenniejszy, stary obraz. Trzeba to sprawdzić.

Asystentka zastanowiła się.

— To wygląda na akryl. Jeżeli jest położony na oleju, to powinno się łatwo udać go usunąć. Czy wierzchni obraz — dotknęła palcem farby — też ma być zachowany, czy można go zniszczyć?

Zaklicki wahał się przez chwilę.

— Ważny jest tylko ten pod spodem.

— To ułatwia zadanie. — Twarz konserwatorki straciła wcześniejszy zatroskany wyraz.

— Ja się na tym nie znam, ale Adam z pewnością wiedział, co ma zrobić, żeby oba obrazy nie złączyły się w jeden — dorzucił jeszcze dziennikarz.

— Proszę się tym zająć w pierwszej kolejności — poleciła jej szefowa.

Dziewczyna posłusznie wzięła obraz i znikła za drzwiami gabinetu.

Starsza pani oświadczyła:

— Ta młoda osóbka rozwarstwiała już stary obraz. Za parę dni poinformuję panów, co znaleźliśmy... jeśli cokolwiek znajdziemy, w co wątpię... Poproszę o numer telefonu.

Maciek podał numer swojej nowej komórki.

Wizyta w muzeum była krótka. Opuścili je rozczarowani oficjalnym tonem pani Tokarskiej. Zwłaszcza Zaklicki spodziewał się cieplejszego przyjęcia.

— Co prawda nie mówiłem Bieli, jaki obraz spodziewamy się odsłonić — gderał — ale wydaje mi się, że muzealników i znawców malarstwa powinna bardziej zainteresować niecodzienna, bądź co bądź, okazja.

— Kustoszka nie spodziewała się żadnego odkrycia. — Maciek także poczuł zwątpienie.

Co, jeśli kupiliśmy niewłaściwy obraz? — myślał. — Wtedy pozostanie nam tylko gołe płótno. I co wtedy? Kolejny wyjazd do Niemiec, po następne obrazy?

Znowu poczuł katusze wątpliwości. Może zanim się pojawili w sklepie Dimdego, właściwy obraz już został sprzedany. Może w jego rozumowanie wkradł się błąd. Może na dodatek chory Nowak coś poplątał.

Niepewność, niepewność...

Późnym wieczorem oglądał i porządkował świeżo wywołane fotografie.

Napadła go ochota, żeby się skontaktować z Anią. Jednak rozum mówił mu, że nie jest to najlepszy pomysł. Dziewczyna jest już w Niemczech. Przy zagranicznych połączeniach przez komórkę płacą obie rozmawiające osoby, więc narazi ją na koszty. Nie miał nic ważnego do powiedzenia. Wprawdzie Ania wyraziła życzenie, żeby do niej zadzwonił, lecz chodziło jej pewnie o wiadomość, jak zakończyła się ich misja, a nie o zwyczajną pogawędkę.

Postanowił wysłać do niej esemes. To doskonały wynalazek dla głuchoniemych — przyszło mu do głowy. — Dotychczas telefon był dla nich niezbyt przydatny.

Niewprawnie stukał w klawisze komórki. Mylił się, poprawiał, przerabiał, ale w końcu wypocił krótki tekst:

Cześć. Tu Maciek. Wedle rozkazu
kupiłem komórkę. Mój numer: xxxxxxxxx.

Podaj mi swój adres, to wyślę Ci zdjęcia. Jak będziesz znowu w Polsce, wyślij mi sms. Wtedy zadzwonię do Ciebie. Pozdrawiam.

Wysłał.

Za cztery minuty przyszła odpowiedź:

Cieszę się. Zrobię, jak chcesz. Całuję.

Z czego ona się cieszy? — zastanowiło go. — I co zrobi? Aha, wyśle do mnie esemes. Chyba to miała na myśli. Ale zwięźle się wyraża!

Zastanawiał się, czy nie napisać do niej jeszcze jednego esemesa, ale przyszło mu do głowy, że dziewczyna prawdopodobnie jest o tej porze w klinice. Miała w tym tygodniu pracować na nocnej zmianie.

Może dlatego odpisała tak krótko.

Pomyślał, jak ciężką i przykrą pracę wykonuje Ania na oddziale chorych na raka. Dlaczego właśnie tam? Mogłaby przecież być na przykład modelką, hostessą albo stewardessą. Jest tyle zawodów odpowiednich dla kobiet.

* * *

Następne dni upływały Maćkowi pod znakiem wyętej pracy. Wychodził z domu wczesnym rankiem, wracał wieczorem. Dwanaście, a nawet czternaście godzin w biurze nie pozostawiało czasu na nic poza czynnościami niezbędnymi do życia. Od siedzenia przed komputerem i manewrowania myszką rozboleł go krzyż i prawa ręka. Na lewym łokciu od ciągłego opierania się na nim zrobiło mu się zgrubienie. Skóra stwardniała jak na palcach gitarzysty.

Pod koniec tygodnia zadzwonił Zaklicki. Pytał, czy nie ma wieści z muzeum. Więcej nikt nie telefonował. Maciek po zastanowieniu podjął postanowienie o likwidacji telefonu stacjonarnego.

Po co mi dwa telefony, jak prawie nikt do mnie nie dzwoni, a ja korzystam z telefonu tylko kilka razy na miesiąc? Nie warto płacić abonamentu. Gdy tylko znajdę trochę wolnego czasu zajmę się likwidacją

zbędnego aparatu. Lepszy jest telefon bezprzewodowy. Precz z drutem, jak powiedział Marconi.

Po chwili przyszła refleksja. Co z Internetem? Dopóki telewizja kablowa nie udostępni mi Internetu, muszę korzystać z modemu telefonicznego. Bardzo to ślamazarne rozwiązanie, ale na razie nie mam innego.

Sobotę i niedzielę też spędził w firmie. Pocieszał się tym, że nie on jeden. We wtorek nareszcie zakończył swoją część zadania i mógł zacząć żyć normalnie. W ten sam dzień odezwała się jego komórka.

Spojrzał na wyświetlacz. Numer nic mu nie mówił.

— Słucham — zgłosił się.

— Dzień dobry panu. Nazywam się Beata Jasińska. Mówię z Muzeum Narodowego.

— Dzień dobry pani.

— Czy to pan zostawił u nas obraz do konserwacji?

— Można to, od biedy, tak nazwać.

— Może go pan już odebrać.

— Kiedy?

— W każdej chwili. Odpowiada panu jutro?

— O jakiej porze?

— Powiedzmy, między dziesiątą a dwunastą.

— Doskonale. Jak panią znajdę?

— Obraz jest u pani magister Tokarskiej, tam gdzie panowie byli za pierwszym razem.

— Bardzo dziękuję. Na pewno przyjdę.

— To do zobaczenia jutro.

— Do widzenia.

Maciek zbierał myśli. Udało się! Damski głos po drugiej stronie brzmiał zadowoleniem i mówił o odebraniu obrazu. Więc był obraz, a nie gołe płótno, wbrew obawom pani Tokarskiej. Teraz wypada szybko powiadomić Zaklickiego. Może zechce osobiście odebrać ocalone arcydzieło.

A on, Maciej Belina, trafnie rozwiązał kolejną zagadkę!

* * *

Postanowił, że wcześniej położy się spać, ale nie było mu to dane. Panna Justyna, sąsiadka, wpadła do

niego z wizytą. Miała doskonały pretekst. Listonosz omyłkowo włożył do jej skrzynki na listy widokówkę adresowaną do Maćka.

Pocztówka od dobrego znajomego została przysłana z Włoch. Błękitne morze, stożkowata góra, u której stóp rozpościerały się zabudowania wielkiego miasta. Neapol, odgadł Maciek. Pewnym ludziom dobrze się wiecie w życiu. Wycieczka do Włoch! Można pozazdrościć.

To samo pomyślała Justyna. Nie tylko pomyślała, wyraziła to głośno:

— Niektórym to się powodzi! To od kobiety? — udawała, że nie czytała korespondencji.

— Od kolegi.

— Cóż to za kolega, co przysyła panu pocztówki?

— Zbieram widokówki i proszę wszystkich znajomych, żeby mi przysyłali albo przywozili.

— Pan też był teraz na wycieczce?

Babska ciekawość nie zna granic — pomyślał ze złością Maciek. — Widziała, jak wyjeżdżałem i koniecznie musi się dowiedzieć, dokąd.

— W pewnym sensie — odparł enigmatycznie.

Widząc niezadowoloną minę Justyny, dodał:

— Byłem w Niemczech, bardzo niedaleko od granicy, w Chociebużu.

— Wiem, gdzie to jest. Niedaleko Drezna i Miśni. Z pewnością przywiózł pan sobie jakieś cacko z porcelany.

— Zgadła pani.

Pochwalił się figurką gęsiarki.

Zostawił ją w rękach sąsiadki i poszedł zaparzyć kawy. Oczy mu się zamykały ze zmęczenia. Kawa była wprost nieodzowna w tej sytuacji.

Gdy wrócił do pokoju, Justyna jeszcze oglądała figurkę.

— Ładna — pochwaliła. — Nowa czy stara?

— Kupiona w sklepie z antykami. Z kropki pomiędzy szablami wnioskuję, że pochodzi z lat 1924 do 34. — Pokazał fabryczną sygnaturę.

— Tak się pan zna na porcelanie? — Trudno było wyczuć, czy podziw, czy niedowierzenie przez nią przemawia.

— Sprawdziłem w katalogu.

— Aha. Czy nie jest już za późno na kawę? —

zmieniła wątek rozmowy.

— Jestem dziś taki zmachany, że nic mi nie przeszkodzi w zaśnięciu.

Korzystając z okazji, Justyna postanowiła podzielić się z Mackiem swoją wiedzą na temat działania kawy na organizm. Zrobiła mu nieco przydługi wykład.

Słuchał uprzejmie, ale wcale go nie obchodziły wady i zalety małej czarnej, tym bardziej, że już kiedyś musiał wysłuchać podobnego „referatu”. Myślał, jak bardzo mogą się różnić dwie czarnowłose kobiety, jedna piękna i posiadająca własny styl, druga zwyczajna, można by użyć określenia: tuzinkowa.

— Tak? Ciekawe. — Udawał zainteresowanie, od czasu do czasu wtrącając słowo lub dwa.

— Ja z pewnością będę miała trudności z zaśnięciem — zakończyła wreszcie sąsiadka, ale natychmiast znalazła nowy przedmiot rozmowy. — Kupiłam samochód.

Odczekała chwilę, obserwując, jakie wrażenie na rozmówcy zrobiły jej słowa.

— Jaki? — bez większego zaciekawienia spytał Maciek.

— Nowy renault clio — odpowiedziała sąsiadka z odzieniem dumy w głosie.

— O! — Maćkowi wypadło udać podziw. — Ja też zamierzam kupić jakiś wóz, ale coś taniego na początek. Coraz trudniej obejść się bez własnego pojazdu.

— Wybiorę się na długie wakacje. Zwiedzę samochodem całą Polskę.

— Musiałyby to być bardzo długie wakacje. Tyle jest w Polsce ciekawych miejsc... I ludzi — dodał.

Panna Justyna pomyślała chyba o specyficznej grupie ludzi, bo oczy jej się rozjaśniły.

Poszła wreszcie do siebie snuć o nich marzenia.

* * *

Mimo zmęczenia Maciek nie mógł zasnąć. Justyna słusznie go ostrzegła, że kawa wybije go ze snu. Nie martwiło go to. Rozmyślał o swym nowym pomysle. Kupi samochód. Przyjemne to były rozważania.

Oszacował swoje oszczędności.

Jak tylko dostanę premię — postanowił — rozejrzę się za jakimś wozem. Może sobie sprawię białą felicję.

Po przyzwyczajeniu się do tej myśli podjął zaraz następne postanowienie.

Resztę tegorocznego urlopu spędzę na Dolnym Śląsku.

Ania zachwalała okolice Legnicy, ale to zaledwie małeńki skrawek interesującego regionu. Piękne góry, stare zamki, tajemnicze podziemia, wspaniała przyroda – atrakcji co niemiara. Bywał już tu i ówdzie, ale zawsze bardzo krótko, po kilka dni. Za mało, żeby poznać te tereny. Kawalek urlopu też zresztą nie wystarczy, by wiele zwiedzić. Trzeba wybrać miejsce na bazę i z niej robić wypady w pobliskie tereny. Może zainstalować się w Złotoryi, ale może bliżej gór? Trudna decyzja.

Mam jeszcze dwa miesiące do zastanowienia się. Dopiero w sierpniu ruszam w świat.

Rozdział XII

MATULA POMARLI

Spotkali się z Zaklickim przed wejściem do muzeum. Razem udali się do gabinetu pani Tokarskiej. Przywitała się z nimi serdeczniej niż poprzednio. Poprosiła do dużego stołu, na którym leżał obraz przedstawiający mroczną izdebkę. Na obrazie widoczna była kobieta leżąca na wznak na łóżku w ciemnym kącie. Na skraju łóżka siedziała może dziesięcioletnia dziewczynka tuląca do siebie małe dziecko. Przy oknie stał chłopiec oparty tyłem o jakiś mebel. Nastrój obrazu wyjaśniał wszystko.

Matula pomarli — Maciek natychmiast rozpoznał znakomite dzieło.

Miał rację, wybierając Plotkarki!

— Byliśmy mocno zdziwieni — mówiła pani kustosz — gdy na światło dzienne wyłonił się ten majstersztyk. Porównaliśmy go z reprodukcjami Kotsisa i nie stwierdziliśmy najdrobniejszej różnicy. Jest

to doprawdy świetna kopia...

— Kopia? — zaoponował Zaklicki. — Dlaczego pani sądzi, że to nie jest oryginał?

— Panie redaktorze — nieprzychylnie spojrzała na niego spod oka — posiadamy wystarczającą wiedzę, żeby móc to ocenić. W tym wypadku było to bardzo łatwe. Oryginał tego dzieła wisi we Lwowskiej Galerii Obrazów. Kotsis w przeciwieństwie do, na przykład, Wojciecha Kossaka nie malował wielu replik swych obrazów. Już choćby z tego powodu nie mamy do czynienia z prawdziwym dziełem Kotsisa.

— Czytałem u Zanozińskiego — sprzeciwił się Maciek — że jednak kilka swoich obrazów Kotsis namalował w kilku wersjach. Dotyczy to również Matuli.



— Dwie wersje jednego dzieła to nie dwie identyczne prace. Zwykle druga wersja jest dojrzała od pierwotnej i nie jest jej repliką, lecz różni się w wielu szczegółach. Tutaj mamy do czynienia z absolutnie identycznymi detalami.

— Ale Zanoziński pisał — upierał się Maciek — że ten obraz jest zaginiony.

— Panie Melina — głos pani Tokarskiej przybrał nutę lekceważenia. — Zano...

— Belina — poprawił Maciej.

— Przepraszam pana. — Kobieta nie przerwała toku swoich wywodów. — Zanoziński pisał we wczesnych latach pięćdziesiątych. Wtedy jeszcze bardzo wiele dzieł sztuki zaginionych podczas okupacji niemieckiej nie zostało odnalezionych. Poza tym wymiana informacji przez granice była utrudniona.

Zmieniła ton na styl wykładowczyni pouczającej studentów.

— Z całą stanowczością stwierdzam, że oryginalny obraz Matula pomarli został uratowany przed hitlerowskim rabunkiem i znajduje się we Lwowie, tam

gdzie był eksponowany przed wojną. Zmieniła się jedynie nazwa instytucji. Przed wojną była to Lwowska Galeria Obrazów, obecnie jest to Lwiwska Kartinna Galerija. Posiada ona aż dziewiętnaście prac Kotsisa.

Zaklicki jeszcze nie był przekonany.

— Mówiła pani, że nie ma żadnej różnicy między tym obrazem a znajdującym się we Lwowie. Na jakiej podstawie wnioskuje pani, że to właśnie ten — wskazał palcem — jest kopią?

— Nie trzeba było robić szczegółowej analizy. Lwowski obraz jest namalowany na papierze naklejonym na płótnie. Nie jest to często stosowana technika. Ten obraz — wskazała na leżący na stole — malowany jest bezpośrednio na płótnie i samo stwierdzenie tego faktu zamyka wszelką dyskusję.

Maciek nie mógł się pogodzić z takim werdyktem.

— Jeżeli tamten obraz jest namalowany na papierze, to może to znaczyć, że był pierwszą wersją, podmalowanym szkicem. Nasz może być jej repliką. Ani Zanoziński, ani Sagajłówna nie podają, że Matuła była malowana na papierze.

— Czytał pan Sagajłównę! — Tym razem głos

pani kustosz zabrzmiał z uznaniem. — Pisząc o całokształcie twórczości artysty nie zwraca się uwagi na takie szczególik. Specjaliści ustalili, że obraz we Lwowie jest dziełem Kotsisa. Jeżeli chcecie mieć pewność, że ten również został namalowany jego ręką, musicie oddać go do ekspertyzy. Jej koszt będzie prawdopodobnie wyższy od wartości tej kopii.

— Zamierzałem ofiarować ten obraz jakiemuś muzeum. Nie chcę go sprzedać, więc nie interesuje mnie jego wartość. Jeżeli pani... — Zaklickiemu głos się załamał.

Mężczyźni spojrzeli na siebie. Musieli mieć nietęgę miny, bo niewiasta zaczęła ich pocieszać.

— Wiem, że panowie włożyli dużo starań, by zdobyć ten obrazek. Rozumiem wasze rozczarowanie, ale nic na to nie poradzę. Nie jest to prawdziwy Kotsis, ale jako kopia jest doskonały. Oczywiście, nie ma dla niego miejsca w muzeum, ale będzie ozdobą każdego mieszkania. Dla pana, z tego, co wiem — zwróciła się ku Zaklickiemu — jest to przecież pamiątka.

— Smutna pamiątka — odezwał się dziennikarz.

— Bardzo mi przykro — pani kustosz pokiwała

głową ze zrozumieniem. — Proszę ją zabrać. Na przyszłość trzeba najpierw skonsultować się ze specjalistą. Gdyby panowie zaczęli od tego kroku, nie byłoby kłopotów, kosztów i rozczarowania.

Maciek pomyślał w tej chwili, że nie byłoby również przygód, emocji i nowych znajomości. Jak, do diabła, mieli się kontaktować z ekspertami, nie mając nawet pewności, że weszli w posiadanie właściwego obiektu.

— Zastanawiam się — powiedział — dlaczego i w jaki sposób ta kopia znalazła się w Niemczech.

— Bóg jeden wie. — Kobieta wzniosła oczy ku niebu (a właściwie ku sufitowi). — Istnieją różne możliwości. Mogłabym, dla przykładu, wymyślić następującą historyjkę. Widząc wojenny rabunek dzieł sztuki, jakiś miłośnik Kotsisa zamawia u początkującego malarza albo zdolnego studenta wykonanie kopii obrazu. Podmienia oryginał na imitację. Dzięki temu skradziona i wywieziona do Niemiec zostaje kopia, a prawdziwy Kotsis jest uratowany.

— Ładna hipoteza — pochwalił Zaklicki — nawet

jeżeli nie w pełni odpowiada prawdzie.

— Opowiem panom podobną autentyczną historię o kopii włóczni świętego Maurycego... Proszę usiąść... Włócznią tą rzymski żołnierz imieniem Longinus przebił bok Chrystusa na krzyżu. Potem trafiła ona w ręce Maurycego, centuriona legii rzymskiej. Gdy ta chrześcijańska legia odmówiła oddania czci bogom rzymskim, wszyscy legionieści zostali wymordowani. Włócznia męczennika Maurycego trafiła następnie do cesarza niemieckich. Jak uczą w naszych szkołach, Bolesław Chrobry otrzymał od cesarza Ottona III grot tej włóczni. To, co dostał nasz monarcha, nie było oryginałem wielkiej relikwii, nie była to nawet kopia. Był to przedmiot z grubsza tylko przypominający słynny pierwowzór. Był i jest przechowywany w skarbcu Katedry Wawelskiej.

— Widziałem — przytaknął Maciek.

— Zaraz po drugiej wojnie światowej pewien oficer Armii Krajowej natrafił przypadkiem w gruzach Warszawy na taki sam grot. Przekonany, że znalazł prawdziwy dar cesarski, ukrył go wtedy, żeby nie został wywieziony przez Rosjan. Po jego śmierci rodzina

nadal przechowywała znalezisko. Dopiero przed paroma laty zgłosiła, że posiada słynny wawelski zabytek. Ale w Katedrze na Wawelu znajduje się taki sam przedmiot. Nikt nie wie, skąd się wziął w Warszawie drugi egzemplarz świętej włóczni, ani kto i kiedy go wykonał. Niezwykła zagadka.

— Rzeczywiście. Przy tej sprawie nasza wydaje się małeńka. Dwa bliźniacze antyki sprzed tysiąca lat to nie to samo co dwa obrazy zaledwie dwustuletnie. Bolesław Chrobry i Kotsis – nie ma po-równania.

— Wracając do naszego malarza, powiem panom jeszcze, że w polskim katalogu zaginionych dzieł sztuki figuruje pięć dzieł Aleksandra Kotsisa: Górale włoscy, Piskłeta, Trzy matki i jeszcze dwa mniej znane. Sprawdziłam wczoraj. Z każdym rokiem maleją szanse na ich odnalezienie. Handlarze antyków na Zachodzie z góry uprzedzają chcących wystawić zaginione dzieło na aukcji, że zostanie zarekwirowane jako kradzione. Kupują i sprzedają takie rzeczy po kryjomu.

Przywołała swą asystentkę.

— Proszę przynieść papier i ładnie zapakować panom ich obraz — poleciała sucho.

Dziewczyna bez słowa spełniła polecenie i z uśmiechem wręczyła pakunek młodszemu z „panów”. Wizyta u pani Tokarskiej dobiegła końca.

Niebawem obydwaj mężczyźni znaleźli się na parkingu przed muzeum. Zaklicki schował pakunek do bagażnika nissana. Ucisnął Maćkowi dłoń i z zakłopotaniem usprawiedliwiał się:

— Przepraszam, że wciągnąłem cię w tę aferę. Byłem przeświadczony, że mamy do czynienia z autentycznym Kotsisem. Wszyscyśmy się dali nabrać. Dwukrotnie zapłaciliśmy za niego, najpierw Adam, potem ja, a tu taka niespodzianka. Tyle nerwów.

Maciek uśmiechnął się.

— Nie jestem przekonany, że pani Tokarska miała stuprocentową rację. Nie śmiałem jej tego powiedzieć, ale eksperci nie są nieomylni. Dla mnie obraz malowany na papierze naklejonym na płótno jest mocno podejrzany. Jedną z metod fałszerzy jest podmalowywanie fotografii. Robi się zdjęcie oryginalnego obrazu. Powiększa się je do właściwego rozmiaru na cienkim papierze, nakleja na płótno i pokrywa farbami. Tą metodą otrzymuje się dzieło

wyglądające identycznie jak oryginał. Czytałem, że niejeden spec uznał taki falsyfikat za autentyk.

— Ciekawe — ożywił się Zaklicki.

— Szczególnie historycy sztuki są bezradni w takich sytuacjach.

Antykwariusze dobrze znają tak zwane miniatury wiedeńskie, czyli fotografie podmalowane, by nadać im pozory plastyczności. Na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku produkowano w ten sposób tanie ikony. Mogę wysunąć hipotezę, że pański obraz jest prawdziwy, a ten na papierze to podróbka. Nie, może też oryginał, nieco wcześniejszy.

— Bardzo miłe przypuszczenie, ale jak je zweryfikować?

— To prawie niemożliwe. Nie można mieć zaufania do opinii tak zwanych specjalistów, którzy już nieraz okazali się ignorantami. Nie warto im pokazywać pańskiego obrazu. Już pan wysłuchał dzisiaj jednej opinii na jego temat wygłoszonej bez gruntownych badań, ale z tupetem. Jeśli chodzi o dzieło ze Lwowa, nie mamy żadnej możliwości zbadania jego autentyczności. To nie ma zresztą znaczenia. Zanoziński

podaje, że Matula istniała w dwóch egzemplarzach. Wierzę, że pański obraz jest jednym z nich. Pewności nigdy nie będziemy mieli.

Dziennikarz kręcił głową.

— Jeżeli rzeczywiście były dwa takie obrazy, to można uważać naszą zdobycz za autentyczne dzieło Kotsisa. Przynajmniej dopóki nie pojawi się trzecie takie samo malowidło...

— Właśnie...

— Ale stale będzie mnie dręczyć podejrzenie, że to tylko kopia.

Gdybym od początku wiedział o dwóch obrazach, nie przeżyłbym takiego zawodu. Jest tak, jakby człowiekowi się zdawało, że wygrał wyścig, a dowiedział się, że przybył na metę jako drugi. Po prostu: olbrzymie rozczarowanie.

— Mogło być gorzej — pocieszył go Maciek. — Został panu naprawdę piękny obraz. Dopóki nie zechce go pan sprzedać, dopóty nie ma znaczenia, czy namalował go znany czy nieznany malarz. Tylko w handlu liczy się nazwisko autora, a nie piękno samego dzieła.

— To prawda — zgodził się starszy pan.

Maciek ciągnął dalej:

— Mogło być gorzej — powtórzył. — Nie zamknięto nas w więzieniu za przemyt, przygoda sama w sobie była niezwykła. Szkoda, że nie skończyła się pełnym happy endem, ale dzięki niej ma pan materiał na duży i ciekawy reportaż.

— Chyba zacznę opisywać twoje detektywistyczne dokonania. Zostanę twoim Watsonem.

Maciek w odpowiedzi tylko się roześmiał.

W tej chwili spod kolumnady muzeum wyłoniła się postać asystentki pani Tokarskiej. Podeszła do nich.

— Chciałam panom powiedzieć, że nie trzeba brać słów pani kustosz zbyt poważnie. Proszę się postawić w jej położeniu. Jeżeli przyjęłaby ten obraz i wystawiła go w galerii w Sukiennicach, a ktoś by podważył jego autentyczność, miałyby się z pyszna. Nie przyjmując od panów tego daru, pozbyła się wszelkiego ryzyka. Można to uznać za asekuranctwo, ale w naszym świecie oszustwa, spory i różne afery zdarzają się aż za często... — Zawahała się. — Są ludzie, którzy chętnie skompromitowaliby panią Tokarską i zajęli jej miejsce.

Maciej przyjrzał się dziewczynie uważniej niż dotąd. Drobna, średniego wzrostu, średniej tuszy, raczej przeciętnej urody, mogła mieć między dwadzieścia pięć a trzydzieści lat. Bez makijażu. Jej jasne włosy były bliżej nieokreślonego koloru. Ubrana w rozmaite odcienie szarości, w długiej aż do kostek spódnicy niczym się nie wyróżniała spośród dziesiątków tysięcy innych zwykłych kobiet. Tęczówki oczu też miała szare.

Dziewczyna ciągnęła dalej.

— Dyrektor muzeum w Gdańsku stracił posadę przez to, że dał się wprowadzić w błąd i nabył dla swojej instytucji podróbkę obrazu współczesnego malarza. Teraz wszyscy dmuchają na zimne.

— Czy pani sądzi, że obraz pana Zaklickiego to może być oryginalny Kotsis? — spytał Belina.

— Może, ale pewności nigdy nie zdobędziemy. Ja jestem na dziewięćdziesiąt dziewięć procent przekonana, że jest to jedna z replik wykonanych przez samego Kotsisa.

— Tak pani uważa?

— Tak. Niestety, moje zdanie się nie liczy.

Rozłożyła ręce w geście rezygnacji i rzuciła szybko:

— Przepraszam, muszę wracać do pracy. Szefowa jest bardzo wymagająca.

Oddaliła się rączym krokiem, zanim mężczyźni zdążyli jej podziękować za wyjaśnienia.

Spojrzeli nawzajem po sobie.

— I bądź tu, człeku, mądry... — podsumował Zaklicki, kręcąc łysą głową.

* * *

Wieczorem Maciek grzebał w Internecie, szukając informacji o dziełach Kotsisa. Ku swemu zmartwieniu znalazł potwierdzenie opinii wyrażonej tak kategorycznie przez panią Tokarską. Witryna o adresie www.lwow.com.pl/galeria/galeri.htm#p oraz www.pinakoteka.zascianek.pl/Kotsis/Index.htm czarno na białym potwierdzały, że Matula pomarli jest wystawiana w Lwowskiej Galerii Obrazów.

Z pewnym żalem jeszcze raz rozpamiętywał zdarzenia z ostatnich, nerwowych dni.

Zgubił go nadmierny entuzjazm i niedbałość. Na

początku porywczo sięgnął po materiały, jakie miał pod ręką. Złapał książkę sprzed prawie pół wieku, przejrzał ją na chybcika i nie zadał sobie trudu poszukiwania nowszego opracowania ani w bibliotekach, ani w księgarniach. Nie przeszukał też na wstępie Internetu. Prawie bez przygotowania rzucił się ochoczo w wir przygód. I oto jest skutek – niemal fiasko.

Prawda, że miał mało czasu i że Michał Zaklicki mimowolnie wprowadził go w błąd. Powiedział, że Adam zdobył obraz Kotsisa.

Nie było powodów, żeby mu nie wierzyć. On też powoływał się na monografię Zanozińskiego. Trudno się temu dziwić, bo to jedyne powojenne większe opracowanie na temat tego artysty. A że stare, mające czterdzieści kilka lat? Cóż można na to poradzić? Książka Sagajłowny jest jeszcze starsza, sprzed wojny.

Gdyby na początku ustalił, że zaginiony obraz już jest na swoim miejscu, nie musiałby brać urlopu w nieodpowiednim czasie i potem borykać się z nadmiarem pracy. Zaklicki nie byłby się wykosztował na podróż, hotel i pozostałe wydatki. Nie byłoby, wreszcie, nerwów i obaw.

Okazało się, że jestem zbyt pewny siebie, zarozumiały, nieostrożny — czynił sobie wyrzuty. — Rzucam się w wir wydarzeń bez zastanowienia. Przygoda działa na mnie tak jak magnes, jak narkotyk.

Ale...

Gdyby był bardziej powściągliwy, nie doświadczyłby wówczas żadnych emocji, nie doznałby satysfakcji z rozwikłania skomplikowanych „puzzli”, nie poznałby fascynującej dziewczyny, a nawet nie kupiłby miśnieńskiej gęsiareczki.

W sumie ocena minionych wydarzeń nie wypadła jednoznacznie źle, rozczarowanie jednak pozostało. A przecież Cyganka zapewniała, że wszystko dobrze się zakończy. Miała rację we wszystkich szczegółach z wyjątkiem szczęśliwego zakończenia. Chyba, że to jeszcze nie koniec. Ale niemożliwe, żeby jeszcze coś mogło definitywnie wyjaśnić, czy posiadli zwyczajną kopię, czy bezcenne arcydzieło. Chyba cud.

Finita la commedia.

Dwa tygodnie później, w piątkowy wieczór przyszedł oczekiwany, bardzo lakoniczny esemes:

Jestem w Legnicy. Adres: xx-xxx,
xxxxxxxxxx xx. Co słyhać u Ciebie?

Wróciły wspomnienia.

Natychmiast zadzwonił do Ani i zrelacjonował jej szczegółowo, czego się dowiedział w muzeum.

— Szkoda — podsumowała dziewczyna. — Nie przewidywałam takiego obrotu sprawy. Raczej obawiałam się, że kupiliśmy niewłaściwy obraz i zupełnie nic pod nim się nie kryje.

— Miałem takie same obawy, mimo że wpadłem na pomysł z krawatem. Zgubiło nas co innego. Popełniłem błąd na samym początku. Miałem za dużo zapału, a zbyt mało krytycyzmu. Od razu uwierzyłem, że zdobędę wspaniały skarb.

— Ale dzięki temu czułam się jak prywatny detektyw, jak poszukiwaczka skarbów i jak przemytniczka. Długo będę pamiętać te uczucia. Ty

chyba też.

— Uważasz, że warto było to przeżyć?

— Czyżbyś ty tego żałował?

— No, nie. Takie sprawy to mój żywioł, ale okropnie nie lubię przegrywać. To chyba zrozumiałe.

— Ja mogę tak przegrywać co miesiąc. Przecież wcale nie wiadomo, czy ten obraz jest podróbką czy jednym z dwóch oryginałów...

Chciałabym jeszcze raz zakosztować tego uczucia niepewności, a zarazem nadziei, że wkrótce tajemnica się odsłoni.

— Znam i lubię ten dreszczyk oczekiwania.

— Też mi przypadł do smaku.

— Wyślę ci parę zdjęć. Będą ci przypominać przeżyta przygodę.

Widzę w tobie pokrewną duszę, a mówią, że kobiety twardo stąpają po ziemi i nie gonią za mrzonkami.

— Może jestem mało kobieca.

— O, co to, to nie. Życzyłbym sobie, żeby wszystkie dziewczyny były takie jak ty.

— Tak?

— Jeszcze jak.

— Bardzo mi miło to słyszeć. Czy mam te słowa rozumieć, jako wyrazy sympatii?

— Uchyłam to pytanie.

— Nie chcesz mi powiedzieć nic miłego?

— Czyżbyś była łasa na komplementy? Przecież mówiłaś, że wszyscy cię nimi obsypują. Nie ciągnij mnie za język. Wszystko się wyjaśni przy następnej wspólnej wyprawie na poszukiwanie skarbów i przygód.

— Będę czekać...

KONIEC